

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, UL. RUTOWSKIEGO 9

1 maja 1936 roku

WYDAJEMY WE LWOWIE
17 NUMER PISMA

Sygnaly

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka • ...

Wstrząśnięci tragicznymi wypadkami lwowskimi, których istotną przyczyną jest wielkie bezrobocie świata pracy, wyrażamy głębokie współczucie walczącemu o swe prawa proletariatu i potępiamy bezpośrednich sprawców zająć.

ZESPÓŁ SYGNAŁÓW

JÓZEF JERZY TYGAŁ

BARYKA PRZED MARSZEM

Jestem jednym z tych, którzy wyszli spod znaku „Straży Przedniej” i „Kuźni Młodych”. Kreśląc uwagi poniższe, będę opierał się przede wszystkim na przeżyciach własnych; sądzę, że są one wspólne wielu spośród dzisiejszej młodzieży szkół średnich; nie będę więc osamotniony. Przez obydwa wyżej wymienione ugrupowania przeszedłem, zostawiając je za sobą w poszukiwaniu jakiegoś punktu oparcia dla krystalizującego się właśnie we mnie zagadnienia światopoglądu, zagadnienia stosunku do otaczającej rzeczywistości. Powtarzam, że pisząc artykuł niniejszy opieram się przede wszystkim na tem, co przeżyłem sam, a dopiero potem na obserwacji, zarówno bezpośredniej jak i pośredniej.

STOSUNEK DO PIŁSUDSKIEGO I JEGO IDEOLOGJI.

Autor artykułu wstępnego w numerze 26 „Kuźni Młodych” (15 — III. — 1936), zapewne redaktor naczelny, popełnił zdaniem moim nieostrożność, pisząc:

„...nasz stosunek do Marszałka był do niedawna wyłącznie uczuciowy... Była to wiara w Człowieka i miłość do Człowieka... Zadne akademie nie wydeklamują nam Jego ideologii, którą pisze nam prawdą dnia powszedniego życie Odrodzonego Państwa. To państwo utrzymać i ulepszać oto synteza tej ideologii i wskazanie dla młodego pokolenia. Utrzymać — a więc trwać w zbrojnym pogotowiu; ulepszać — a więc dążyć do sprawiedliwości społecznej, której realizacja nikomu z nas nie może być obojętna”.

Przypuśćmy, że wygłoszona tutaj synteza ideologii dzisiejszej jest słuszna. Ale skąd młodociany interpretator tej ideologii wysnuł wniosek, że jednym z jej wskazań jest dążyć do sprawiedliwości społecznej — niewiadomo.

Młodzież, której nie mogła być obojętna realizacja sprawiedliwości społecznej, a która z drugiej strony była silnie przywiązana do Piłsudskiego i jego ludzi, młodzież ta wierzyła do końca, a może wierzy i dziś jeszcze, że wreszcie stanie się coś, że powzięta zostanie jakaś decyzja, która zmieni istniejący stan rzeczy. Młodzież ta oznak poprawy, oznak zmiany sytuacji skłonna była się dopatrywać nawet w chwilowym uwieszeniu Boussaca. Dowody tej wiary znajdziemy w wielu utworach drukowanych na łamach „Kuźni Młodych”, że weźmę choćby urywek z wiersza Czyżewskiego „Piłsudski”:

„...czerwonym ołówkiem przekreślić dymiący na mapach Kłomontów, wybuchnąć placem ogromnym i przestać siebie obwiniać i wygnać płaczących Chrystusów z wysokich, sklepionych gontyn!”

Działo się to dlatego, że stosunek wymienionej części młodzieży do Piłsudskiego i jego ludzi był wyłącznie uczuciowy. Do Marszałka z piosenką żołnierskiej, z rewji na Polu Mokotowskim, z defilady na placu jego imienia, z portretów i pomników... I jeszcze podczas pogrzebu miałem łzy w oczach i kilka godzin stałem na deszczu i błocie przy torze kolejowym, po którym miał przechodzić pociąg z trumną do Krakowa... i przypłaciłem to chorobą...

Bardzo jest przykro rozczarowywać się do ideałów, hodowanych w piersiach od lat, do ideałów, które dotychczas uważało się niemal za świętość. Tak samo przykro, jak niegdyś, gdy trzeba było, również pod wpływem samotnych rozważań po nocach bezsennych, pod wpływem chłodnej analizy, zważyć w wygodne religijne dogmaty o nieśmiertelności duszy i bytowaniu wiekuistym...

„STRAŻ PRZEDNIA” — „WSKAZANIA” ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO.

Znacznie łatwiej i bez większych urazów uczuciowych można odkryć właściwe oblicze „ewangelji strażowej” — „Wskazań” Adama Skwarczyńskiego. Bez specjalnego studjowania, już po pierwszym przeczytaniu tej książki uderza ogromny subiektywizm autora w ocenie wielu zjawisk współczesnego życia, zbywanie przeciwników ideowych pogardliwymi epitetami „elementów destrukcyjnych i wywrotowych”, zamiast rzeczowego uzasadnienia rzekomej niesłuszności ich poglądów.

Operując abstrakcyjnym pojęciem jakiegoś „Państwa”, każe w imię jego wyrzec się wszystkiego, interesy jego postawić ponad interesami rodziny czy klasy społecznej i wzamian za to nie pozwala żądać niczego. Nie każe walczyć z obecnym stanem bezrobocia, nędzy i głodu szerokich mas, gdyż: „stan nasycenia materialnego sprzyja raczej psychice spożywania, niż psychice górnych porzywów...”

W Polsce, jako w kraju kompletnego „nienasycenia materialnego”, znajdują się jakoby idealne warunki do

powstania jakiejś wielkiej idei, która by zapanowała nie tylko u nas, ale również wykazała ekspansję nazewnętrzną. Jak widzimy, Zeromski znalazł epigonów. Tylko że Zeromski tej wielkiej idei wyglądał właśnie od obozu piłsudczyków, od Adama Skwarczyńskiego i jemu podobnych.

Skwarczyński w swoich „Wskazaniach” za wzór, za jeden z ideałów, do jakich powinna dążyć młodzież, stawia... Skarżyńskiego, a do naśladowania bezrobotnym pewnego bezrobotnego, który przechowywane od lat złote monety oddał na Pożyczkę Narodową.

Nie lekceważył również potrzeby ideału dalekosiężnego. Wyraźnie mówi o dwóch hasłach, które, zdaniem jego „dają ujście tęsknocie ludzkiej do idei o dalekim rzucie w przyszłość”. Są to: 1. Wyzwolenie narodów ujarzmionych i 2. Dążenie do nowego ustroju. Ciekawe, że pozornie odzęgnywując się od obydwu prądów walczących obecnie o duszę świata: komunizmu i faszyzmu, kreśli wizję przyszłego państwa opartego na zasadzie... korporacjonizmu faszystowskiego.

W odstraszeniu młodzieży od socjalizmu nie posługuje się Skwarczyński zbyt wybrednymi metodami. Twierdzi, że idee socjalistyczne zbankrutowały obecnie zupełnie, że wogóle są nieżywcze i na dowód przytacza „fakt”, że w Rosji sow. realizacja socjalizmu dała „zamiast rozwoju — uwstecznienie na każdym polu (!), zamiast rozrostu życia — panoszącą się wszechwładnie śmierć” (Wsk. str. 96). Trudno nie dostrzegać już nie tylko nieprawdziwości, ale poprostu nieuczciwości takiego twierdzenia. Czyż Skwarczyński przypuszczał, że młodzież nie dowie się czegoś wręcz odwrotnego choćby z dawnych korespondencji Otmara?

Skwarczyński pomija dyskretnie drażliwe zagadnienie sprawiedliwości społecznej. Nie napomyka również o tem świeżo spreparowany frazeologiczny „Dekalog S. P.” Przywódcy „Straży Przedniej” są pod tym względem ostrożniejsi od redaktora „Kuźni Mł.” Wiedzą, że powtarzanie takich haseł mogłoby jeszcze tej resztkę młodzieży spod ich sztandarów otworzyć wreszcie oczy na to, kto właściwie w Polsce walczy o zrealizowanie sprawiedliwości społecznej.

„Straż Przednia” jest organizacją kosztowną. Wysokie pensje dygnitarzy strażowych, utrzymywanie lokali, urządzenie obozów i kursów pochłania setki tysięcy złotych. Państwo nie może dać nauki w szkole powszechnej przeszło milionowi dzieci, ale na utrzy-

ZOFJA LISSA

MUZYKA DLA MAS

Nikomiu nie przyjdzie dziś już na myśl — bez względu na jego przekonania polityczne — wątpić, że zdobycze kultury — a więc i muzyka — powinny być udziałem całego społeczeństwa, powinny być dostępne wszystkim jego klasom. Zanikły już dawno czasy wczesnego średniowiecza, w których muzyka była monopolem kościoła i jako potężny środek sugestywny uświetniała liturgję, a przeciwstawiała się muzyce ludowej, świeckiej, „djabelskiej”, jako jedynie prawdziwa, artystyczna i boska. Minęły już te czasy, kiedy jedynie dwory książąt i magnatów feudalnych skupiały w sobie życie muzyczne i muzyków (których jednak wraz ze służbą kuchenną i stajenną sadzano „hinter dem Salzfaß”, u szarego końca stołu). Minął i ten okres, w którym do sal koncertowych cisnęło się wzmożone w swym samopoczuciu, pyszne rozwojem przemysłu, skupione w jego ręku — mieszczaństwo. Jemu jeszcze służył, do niego przemawiał samotnik — rewolucjonista Beethoven, jemu dogadzali indywidualiści romantyzmu, jego potrzebie bohaterstwa czynił zadość Wagner, ożywiając w świetle lamp teatralnych mitycznych gigantów Walhalli. Ono, mieszczaństwo stworzyło kult techniki instrumentalnej, błyskotliwość i wirtuozję, której odbłaśki i nas jeszcze dochodzą. Ale i ono dożyło odwrotu od sztuki „elitarniej”, z niego wyszły pierwsze hasła do uspołecznienia muzyki, wyjścia naprzeciw muzyce „dołowej” społecznych, hasła wciągnięcia tej muzyki w zakres artystycznej i zarazem udostępnienia jej tym dołom.

Każda nowa grupa społeczna, wkraczająca na wieś, wchodzi w historię, wnosi po pewnym czasie i do sztuk nowe wartości, nowe idee i formy. Zanim jednak jeszcze klasa robotnicza stanęła na arenie dziejowej, jako społecznie twórcza, wyłonił się problem muzyki dla mas, muzyki, która nie byłaby dostępna jedynie pewnej grupie społecznej, ale wszystkim, muzyki, która byłaby artystycznie na poziomie, ale równocześnie nie ograniczała się tylko do garstki wybranych, do elity muzycznej.

Historyczny rozwój muzyki wykazuje — jeszcze silniej, niż to się przejawia na terenie innych sztuk — pewną wielotorowość. Jedynie u samego początku rozwoju muzyki, w społeczeństwie bezklasowym, w stadium muzyki prymitywnej była ona dostępna wszystkim bez wyjątku członkom gromady. Przez wszystkich razem wykonana, przez wszystkich razem nawet wspólnie stworzona. Różniczkowanie się życia społecznego prowadzi czasem do wydzielenia się słuchaczy, wykonawców i twórców. Już w okresie kultury greckiej zaczyna się zaznaczać izolacja twórców i wykonawców od bierniej masy odbiorców. Ale jeszcze sztuka ta może być przez wszystkich rozumiana i przeżyta, wyrasta bowiem z ducha całego społeczeństwa, wyraża wspólny wszystkim ethos. Rozwijająca się jednak kultura miast, separacja od wsi, różniczkowanie się społeczne, idące coraz bardziej w głąb, oddzielają od siebie warstwy społeczne pod względem trybu życia. Urabia się odmienny krąg warunków życiowych, pracy, zainteresowań, a w konsekwencji odmienna mentalność i odmiennie potrzeby kul-

turalne. Następuje rozdział między muzyką artystyczną, przeważnie miejską, a ludową, muzyką ludności wiejskiej. Muzyka artystyczna zaczyna spoglądać zgóry na tamtą, potem kościół potępia ją jako djabelską, wędrowni śpiewacy i grajkowie nie mogą się mierzyć z trubadurami i truverami. Przepaść między muzyką mas, a muzyką elity zaczyna się coraz bardziej pogłębiać. I wprawdzie reformacja, chcąc sobie zaskarbić masy, sięga po pieśń ludową, a więc po muzykę dołowej społecznych, i pozwala jej w pewnym stopniu przepoić swym duchem chorały liturgji protestanckiej, wprawdzie ubocznie wciskają się pierwiastki ludowe i świeckie do muzyki kościelnej, wywołując protesty papieża i reformy, to jednak w zasadzie jest ona zawsze muzyką upośledzoną. Zarazem jednak mieszczaństwo renesansu zaczyna tworzyć własne pieśni i formy, pieśni brukowe, wulgarne, studenckie, satyryczne, okolicznościowe; popularne, łatwo uchwytnie, treściowo dla wszystkich aktualne, tworzą zarodek tego, co dziś stanowią gatunek „szlagierowy”. Masowo śpiewane, masowo tworzone i zbywane, hurtem ginące, ulegające modzie, jednym słowem: kicz muzyczny. Dotychczasowa dwutorowość rozszczepia się po raz wtóry: między artystyczną a ludową wciśka się trzeci rodzaj: tandeta miejska. Muzyka ludowa, odosobniona od wpływów miasta krzepnie w pewne stałe, etnograficznie odmienne typy. Przechodząc z pokolenia na pokolenie w niezmiennym formie, kostnieje, jej cechy charakterystyczne uwypuklają się coraz silniej, staje się muzyką narodową w najczystszej postaci, łatwo znaczeniu. Jest pokarmem muzycznym mas ludowych. Masa miejska karmi się „szlagierem”, który zmienia się wraz z modą, mija szybko i tylko niekiedy dochodzi do artystycznej stylizacji (walc Straussowski, obecny jazz).

Tymczasem typ trzeci, muzyka artystyczna, tworzona i przeżywana przez elitę społeczną, komplikuje się coraz bardziej w swej fakturze, indywidualizuje się, staje się coraz bardziej trudna do ujęcia, ograniczona do wybranej garstki wtajemniczonych, skierowana wyłącznie do elity duchowej, w której ogonie wloką się mecenasi i snobi.

Każdy z tych trzech typów przemawia językiem tak odmiennym, wyraża tak różne światy psychiczne, że porozumienie jest tu wogóle niemożliwe. Muzyka ludowa staje się czemś w rodzaju domorosłej egzotyki i w tym też sensie — obok innych, (jak wzrost poczucia narodowego) — sięga po nią romantyzm muzyczny, sublimując ją w duchu ówczesnego stylu muzyki artystycznej.

Wiek XX. zaczyna podważać tę elitarność muzyki. Masy, karmione dotąd pożywką z kiczu muzycznego lub wogóle niczem, zaczynają okazywać zainteresowanie dla spraw kultury muzycznej. Powstają chóry robotnicze, orkiestry, specjalne koncerty („Arbeiterkonzerte” w Niemczech przedhitlerowskich). Kompozytorzy zdają sobie sprawę, że pojawia się dla nich nowy typ publiczności, niezaputej, świeżej, chłonnej, bezpośrednio rea-

gującej. Czołowi twórcy zaczynają pisać muzykę dla mas, dobrą, artystyczną, nowoczesną muzykę dla mas. I teraz rozpoczyna się konflikt. Bo kompozytorzy przemawiają językiem współczesnego człowieka, myślą kategoriami dźwiękowymi, które są wynikiem całego dziejowego rozwoju artystycznej muzyki, a masy tego języka nie rozumieją. Nie mają za sobą tego rozwoju, przeszły go po innej linii, na innym, niższym planie kultury muzycznej. I oto wyłania się paradoksalna sytuacja: klasa, najbardziej pod względem społecznym zradynalizowana, jest na terenie muzyki najbardziej konserwatywną. Odrzuca język współczesności, który jest przemawiającym jej własnej epoki, a czuje się dobrze w formach, wykształconych przez poprzedni okres dziejowy. Psychologicznie — sytuacja zupełnie zrozumiała. Styl poprzedniej epoki wpłynął na charakter dzisiejszego „szlagieru” i stąd styl ten znany jest poczęści masie. Dlatego łatwiej zyskuje ona dostęp do muzyki romantycznej, aniżeli do współczesnej, pisanej nawet już z nastawieniem na masy.

Pytanie: jak ma wyglądać współczesna artystyczna muzyka dla mas — nie należy do rzędu tych, które można teoretycznie rozwiązać. Rozwiązanie zagadnienia wymaga czasokresu jednego pokolenia i nowego sposobu wychowania tego pokolenia; wymaga wychowania, któreby umożliwiło masie nadrobienie zaległości historycznych, dojście do języka muzycznego, który jest mową współczesnego człowieka, a więc i masy, tworzącej to współczesne życie. W Rosji współczesnej właśnie w ten jedynie możliwy sposób rozstrzygnięto ten problem, z jednej strony podając masie to z literatury dawniejszej, co jest najbardziej wartościowe, z drugiej wychowując muzycznie młodzież w jak najszerszym zakresie. Dowodem tego, że masy mają wycucie dobrej muzyki i że tylko z braku innych możliwości karmią się tandetą, jest fakt, że największym powodzeniem cieszy się tam właśnie Beethoven, Natomiast twórcy sowieccy piszą przeważnie — chcąc trafić do słuchaczy — w stylu, nawiązującym do epigonów romantyzmu, albo też do muzyki ilustracyjnej, programowej, od strony swej wartości treściowej dostępnej masie. Fakty te dowodzą, że styl muzyczny nie może tak łatwo ulec zmianie, jak tematyka literatury lub plastyki; że jest w pewnym stopniu czemś autonomicznym, co dopiero wraz ze zmianą ogólną postawą życiową i psychiką nowego człowieka wyłoni ze siebie coś nowego. Muzyka dzięki swej ontologicznej istocie (której cechą jest brak zawartości pojęciowej, brak treści realistycznej) jest nieco słabiej związana z nurtem spraw życiowych, aniżeli inne sztuki. Dlatego też dopiero w pewnej odległości od spraw życiowych ulega modyfikacji swego stylu. Wprawdzie muzyka każdej epoki jest funkcją układu sił społecznych, jak wszelka nadwartość kulturalna, ale przemiany w tym układzie sił odbijają się w niej tylko pośrednio, w formie zmian techniki, konstrukcji dźwiękowej. Jako sztuka bezprzedmiotowa, atematyczna (w sensie tematyki zaczerpniętej z życia), a jak niektórzy wolą „abstrakcyjna” — nie formuluje idei, nie opisuje zdarzeń, nie wyraża stosunku do spraw kształtujących życie i człowieka. Treścią wszelkich dzieł sztuki jest zawsze człowiek i sprawa człowiecza, to wszystko co ludzi boli i raduje, gnębi i umacnia, poniża i wznosi. W sztukach, związanych z pewną treścią realną, sprawy te znajdują jakieś zaczepienie konkretne. W muzyce dochodzi do głosu jedynie moment dynamiczny tego nurtu, kierunek napięcia sił: kontemplacja lub aktywność, rozpęd lub rozkład, mówiąc terminami Junga: intro lub ekstrowersja. I nic więcej! Więc dopiero w pewnej odległości od przełomów społecznych zmienia muzyka swój styl. Zmienia go wtedy, gdy nowe warunki życiowe stworzyły nowego człowieka i nową, zmienioną postawę odbiorców wobec rzeczywistości.

Nic więc dziwnego, że właściwej muzyki dla mas w pełnym tego słowa znaczeniu, nadal jeszcze nie ma, ani tam, gdzie sprawa ta jest aktualna, ani tam, gdzie ludzie mają inne ważniejsze kłopoty. Zanim więc masa stanie się twórcza i stworzy własne, z niej samej wyrosłe i jej dostępne formy wyrazu — problem „muzyki mas” pozostanie w zawieszaniu.

Z psychologicznego punktu widzenia należy dodać, że całkowite rozwiązanie tego problemu nigdy nie zostanie osiągnięte: zawsze będą istnieć — w najlepszych nawet warunkach życiowych — ludzie mniej lub więcej muzycalni, tacy, którym potrzebna jest poważna strawa duchowa i inni, którym wystarczy muzyka „naskórkowa”. Tak będzie zawsze, jak długo gatunek ludzki będzie się rozwijał normalnie, a nie jak chce Huxley — drogą butelkowania i bokanizacji. Ta różnica indywidualna jest przeciw podstawą biologicznej ewolucji. Idzie tylko o to, by jak najdalej wyjść naprzeciw tym wszystkim, którzy chcą i mogą znaleźć dostęp do poważnej muzyki. I tylko tędy prowadzi droga do rozwiązania problemu „muzyki mas”.

manie „Straży” czy na subsydia dla „Kuźni” pieniądze znaleźć się muszą. Stosunek wydatków państwa na jedno dziecko w szkole powszechnej i na jednego strażowca ma się mniej więcej tak, jak 1:25. Za pieniądze wydawane na zaledwie dwutysięczną organizację można umożliwić pobieranie nauki elementarnej około 50.000 dzieci.

Po tegorocznej „restauracji” w szeregach „Straży Przedniej” pozostało niewiele jednostek wartościowych, oddanych całą duszą idei. Stanowią one nikły odsetek ogólnej liczby członków (uczestników ew. kandydatów, jak kto woli). Znam przecież wielu strażowców. Jednostki, spodziewające się łatwiejszego otrzymania posad, takie, które chcąc sobie zaskarbić względy przełożonych, lub wreszcie takie, które nie zdają sobie dokładnie sprawy, poco właściwie do tej organizacji należą.

Najbardziej wartościowe jednostki spomiędzy młodzieży szkół średnich znajdują się obecnie poza „Strażą”.

KRYSTALIZOWANIE SIĘ OBLICZA MŁODZIEŻY DZISIEJSZEJ

Gdzie go szukać? Czy na kartach „Kuźni”, która z każdym numerem obniża swój poziom spowodowany zmniejszaniem się liczby zarówno współpracowników jak i czytelników i która, podobnie jak i „Straż Przednia”, znajduje się w przededniu upadku? (Być może zresztą, że zainteresowane czynniki podwoją wysiłki, by sztuczny żywot tych twórców jaknajdłużej utrzymać).

Czy może oblicza tego szukać w reakcyjnych okrzykach „Bij Żyda!” i hecach pogromowych, urządzanych przez naszych rodzimych nacjonalistów, którzy nie mają na tyle inteligencji, by stwierdzić, że bicie Żydów w Niemczech ani trochę nie polepszyło katastrofalnej sytuacji ekonomicznej tego kraju?

A może w przemilczanym przez znaczną część prasy procesie uczniów seminarjum nauczycielskiego w Łowiczu, procesie uczniów gimnazjów częstochowskich, uczennic gimnazjów na Pomorzu?

Młodzież, zależnie od poziomu umysłowego, szuka gorączkowo swego własnego oblicza, przypłacając często stokroć swój zapal i entuzjazm długoletnim więzieniem, które pożera ich najlepsze lata. (Takich nie obejmuje amnestja...). Młodzież, myśląc o Polsce, coraz częściej zastanawia się nad znanym sześciowerszem Słowackiego i coraz bardziej zdaje sobie sprawę z tego, o jaką to Polskę chodzi. I wszystko jedno, czy to będzie młodzież z prawej, czy lewej strony barykady, czy też ze sanacyjnego „środku”.

Parecki, który miał w swoim dorobku takie pozycje, jak „Elegja na śmierć Adama Skwarczyńskiego”, pisuje obecnie rewolucyjne wiersze w pismach lewicowych. To samo Huszcza, Turczyn, Twardowski, Jesionowski.

Kott i Stachowski z klubu „S” podpisali się pod deklaracją zjednoczonych pisarzy lewicowych. Że nie podpisało się pod nią więcej najmłodszych poetów i prozaików, należy to w pewnej mierze przypisać temu, że w skromności swojej za literatów się jeszcze nie uważają, że byłby to może gest megalomański. Nie należy się ludzi, że wszyscy w postanowieniach dzisiejszych wytrwają. Znajdą się Łobodowscy, ale dziś zdeklarowane nie są tylu młodych i najmłodszych pod sztandarem lewicy należy uważać za zdrowy, instynktowny raczej niż przemyślany odruch samozachowawczy.

Po stronie endecji opowiedział się autor antykarykalistycznych artykułów w „Gazecie Młodych” i wierszy w „Akcji Literackiej” — Pietrkiewicz (pseud. Jerzy Rawicz), obecnie przycięty skwapliwie do obłędnej piersi p. Piaseckiego.

Czas jednak nie pracuje na korzyść ani sanacji ani obozu narodowego. Zagęszczająca się stale atmosfera wewnętrznych konfliktów społecznych oraz bankructwo idei nacjonalistycznych w odniesieniu do rozwiązania trudności gospodarczych na Zachodzie sprawia, że coraz więcej wartościowych jednostek zarówno z obozu sanacyjnego jak i narodowego będzie się opowiadało po stronie walczącego proletariatu.

Józef Jerzy Tygal

PIERWSZA UKRAIŃSKA ENCYKLOPEDIA

Najlepsze źródło wiadomości o ukraińskim życiu kulturalnym, społecznym i politycznym

Adres Wydawnictwa:

„UKRAIŃSKA ZAHALNA ENCYKLOPEDIA”
KOŁOMYJA

STANISŁAW SALZMAN

U PODSTAW KLASY

Interesujący skądinąd i przemyślany artykuł B. Zubrzyckiego o „Marginesach walki” („Sygnały” Nr. 16, 1 kwietnia 1936) stanowi śmiałą próbę nakreślenia „historji naturalnej” i dróg rozwojowych, na jakich odbywa się proces krystalizujący tzw. inteligencji. Ze wnioski, do jakich dochodzi autor, są przeważnie mylne, że pesymizm ich jest conajmniej nieuzasadniony, to wpływa z pewnego pomieszenia kategorii socjologicznych oraz z nienależytego rozróżnienia płaszczyzny przedmiotowej i subiektywnej w podstawowym zjawisku społecznym, jakim jest niewątpliwie klasa.

Umiejscowienie inteligencji w podziale klasowym, a następnie wyznaczenie jej roli „balastu” względnie „motoru” w przebiegu zmian ustrojowych jest jednak zawsze wysiłkiem jałowym, o ile punktu wyjścia nie stanowi ścisła i dynamicznie pojęta definicja samej klasy i o ile nie podda się szczegółowej analizie istoty i sensu klasowego podziału społeczności. W odniesieniu do tego problematu możliwe są dwie zasadnicze postawy, z których jedna, wciąż jeszcze nieprzezwyjęzona, ujmuje klasę jako fikcję intelektualną czy demagogiczną, druga widzi w niej żywą i realną kategorię socjologiczną. Zubrzycki nie zajmuje określonego stanowiska, przychylając się w pewnych momentach raczej na stronę nierealnego, czysto teoretycznego pojmowania klasy. Taką przynajmniej koncepcję imputuje marksizmowi, twierdząc, że „pojęcie klasy u Marksa było typowym skrótem myślowym, dalekoidącym uogólnieniem zawilej rzeczywistości”. Zdaniem Zubrzyckiego Marks, ulegając śmiałym i wielkim uogólnieniom, typowym dla 19 wieku, stworzył „w potężnym skrócie wizję historii pojętej jako dzieje dwóch na dwóch obcych sobie biegunach walczących klas: biednych i bogatych, burżuazji i proletariatu”.

Nie tylko Zubrzycki, ale i sam Marks był przeciwnikiem takiego „marksizmu”, polegającego na abstrakcyjnej schematyzacji rzeczywistości i upraszczaniu przebogatej mnogości zjawisk społecznych. Twórcy naukowego socjalizmu nic nie było bardziej obce, niż taka szkolarska symplifikacja i to właśnie, to przedewszystkiem miał na myśli, podkreślając, że... nie jest marksista. Bo w rzeczywistości klasa przedstawia się u Marksa zgoła inaczej, aniżeli to zobrazował autor „Marginesów walki”, opierając się może mimowiednie na płaśkich wulgaryzatorach marksizmu bez cudzysłowu. Marks klasy wcale nie „wynałazł”. Samo pojęcie zastał już w socjalizmie utopijnym, spadkobiercy ideologii Marata, Robespierre'a, Heberta i Babeufa. Guizot, Mignet, Louis Blanc, oni wszyscy operują już w swych dziełach historycznych (czy raczej historjofizycznych) kategorią klasy społecznej, pierwszym zaś myślicielem, który usiłował ująć rozwój historyczny jako antagonizm klasowy był St. Simon.

W „Katechizmie przemysłowców” wyprowadza on podział społeczny z klasyfikacji psychologicznej. Trzem dyspozycjom duchowym: inteligencji, woli i uczuciu odpowiadają trzy klasy społeczne: uczonych, przemysłowców i „filantropów” lub „moralistów”. A zasadniczą tezą historjofizji St. Simona jest prawo cyrkulacji klas panujących, stwierdzające, że klasa, której rządy stają się sprzeczne z interesami ogółu, a przez to i nieużyteczne, ustępuje miejsca klasie nowej. St. Simon jest więc pierwszym, który wprowadza element przewidywania socjologicznego, opierając pojęcie jakościowe „użyteczności” na zasadzie ilościowej „powszechności” czyli ogółu.

Inna rzecz, że ta koncepcja klasowa cierpiała na przerost werbalizmu i brak jasnej, jednoznacznej definicji. Przynależność do danej klasy określa St. Simon sprawdzianem dość rozciąglwym i mętnym, ograniczając z jednej strony produkcję wyłączając do działalności gospodarczej, a z drugiej zaliczając do „producentów” „robotników” czy „przemysłowców” — zarówno fabrykantów, jak i robotników oraz kupców. (Dodajmy już tutaj od razu, że ten werbalny pogląd na produkcję i producentów pokutuje w pewnych odmianach rodzimego i zagranicznego pseudosocjalizmu, a spod jego uroku nie może się również wyrzulić autor „Marginesów walki”.)

Pojęcie klas społecznych precyzuje dopiero Marks, wyprowadzając je ze sposobu wytwarzania i podziału pracy, z położenia ekonomicznego w ogólnym procesie gospodarczym, z wspólnoty interesów i antagonizmów. Klasa nie jest już więcej kategorią statyczną, ale historyczną, ulegającą w toku rozwoju dziejowego najróżnorodniejszym zmianom i modyfikacjom. Marks, ujmując świat jako proces zmian, właśnie Marks, „wierny uczeń Hegla” i jego dialektyki wiecznego ruchu i walki, nie przeprowadził mechanicznego podziału społeczeństwa na dwie klasy i nie określił na stałe i po wsze czasy liczby klas. Ten tylko, kto nie zna ducha marksizmu, może twierdzić, jakoby w założeniu marksowskim liczba klas społecznych była wielkością stałą i niezmienną. Dialektyka materialistyczna wykrywa różnice nie tylko pomiędzy poszczególnymi grupami społecznymi, lecz również i w obrębie jednej i tej samej klasy.

„Gdziekolwiek istnieją antagonizmy, tam powstaje klasa — mówi M. Niedziałkowski. — Pisarz, chcący stosować marksowską metodę pojmowania dziejów, nie powinien się cofać przed posuwaniem tego podziału

jaknajdalej, tembardziej subtelne bowiem narzędzie pracy poznawczej będzie miał w dłoni”. Marks nie mówił nigdzie o antagonizmach dwu tylko klas, lecz conajwyżej o walce dwu obozów, z których jeden obejmował klasy posiadające, a drugi klasy pracujące. I jeżeli Zubrzycki, opierając się na mylnie zrozumianym marksizmie, stwierdza z tryumfem, że „rzeczywistość miała jednak charakter znacznie bardziej skomplikowany, niż dopuszczają do tego jego (t. zn. Marksa) syntezy” — to ignoruje poprostu istotny sens dialektycznej nauki o społeczeństwie.

Ze marksizmem nie wykluczał nigdy, a wręcz przeciwnie zakładał nawet powstawanie nowych klas społecznych, o tem pisał w swoim czasie trafnie najbardziej twórczy marksista polski, a jeden z przodujących w Europie, Kazimierz Krauz: „Z czasem ustrój ten komplikuje się: społeczeństwo pozostaje i nadal podzielone na dwa główne odłamy posiadaczy i nieposiadających, lecz każdy z tych odłamów skolei dzieli się na kilka, i społeczeństwo zawiera nie dwie lecz kilka klas, z których każdą charakteryzuje i określa pewna specjalna, czy to pośrednia, czy bezpośrednia rola w procesie gospodarczym. Gdy samo prawo ustanawia (a raczej zatwierdza) klasy, to nazywamy je stanami lub kastami; lecz jest to tylko poszczególna forma ogólnego zjawiska”. (K. Krauz, Materializm ekonomiczny, Kraków 1908).

Również i pojęcie „międzyklasy”, którego ojcostwo przypisuje Zubrzycki de Manowi, pochodzi w istocie od Marksa, od jego „Zwischenklasse”. Było ono zresztą znane już i St. Simonowi, stwierdzającemu, że wielką rewolucją francuską kierowała „klasa pośrednia”, złożona z „legistów”, „moralistów” i drobnych właścicieli. Ci właśnie „legiści” — adwokaci Danton, Robespierre i Barrere, lekarz Marat, dziennikarz Hebert, poeta Fabre d'Eglantine, aktor Collet d'Herbois — stanowiły jedną z „klas drugiego rzędu”, wchodzącą w skład klasy „pośredniej”. Była to właśnie inteligencja zawodowa, której w ówczesnym układzie społecznym przypadała rola postępową, rewolucyjną.

Stworzył ją nowy kapitalistyczny system produkcyjny, a co zatem idzie i potrzeby nowego organizmu państwowego, który w miarę centralizacji musiał usuwać arystokrację urzędniczą (a więc jakby inteligencję

ANTONI KASPROWICZ

Rozstanie

Pamiętam jeszcze jak księżyc, czerwony księżyc gdy wschodził i kulą miedzianą się toczył szlakiem błękitno-rdzawym, ostrzem swych złotych promieni w serce jak nożem ugodził — w serce ugodził — i splunął w oczy cielece-kaprawe. Pod płachtą z ultramaryny, ówiekami gwiazd błyszczący stałem zdumiony, wiatrom podawsy liście — dlonie. I wtedy poczułem, że serce to kocioł krewią żywą wrzący i wtedy poczułem, że serce też złoto-miedzią płonie. I rozpachniało mi kwieciami, dudem lipcowym i leśnym, trawą soczystą i wierzbą, przydrożną wierzbą głowistą. I cały byłem pachnący jabłonią białą, czeresnią i cały byłem pachnący kiedy zdałem ku miastu. Cykaniem polnych koników, komarów chmurnych brzękiem i drzew poszumem cmentarnych, jak rozedrgany jak harfa, szedłem o blasku księżycu i rozglądałem się z lękiem, czy mi kto kwiatów nie wydrze, kwiatów pachnących com narwał.

Czasem więc drogą, butami ciężkimi sklepaną jak rzemień, kluczyłem, schodząc na ścieżki nogom oddane miłośnie, by niewidzialny runąć na rozpachnioną ziemię, całować każdą jej grudę i słuchać, słuchać jak rośnie. By potem gdzieś za agrestu krzakiem, lub dzikiej jagody, lub w rowie rośnie pachnącym dzikim chróśniakiem i miętą ropusze słowem miłosnem w lodową pierś jej tchnąć oddech i rozgrzać ropuchę samotną, bólem ogromnym rozdeptaną. O, wylupiaście twe ślepia, zielskiem zarosłe i bagnem, o smutku i melancholjo, głębio boleści i żalu! tęsknota żabiała... A kiedy kręgów słonecznych zapagną, wypatrzą się, wylupięją — i strachem wielkim się spala. Uniestwiona pogardą, o siostrzo moja ropucho, samotnym twoim podskokom, któż to wtórował w takcie? I któż cię srebrnym komarem, i któż to złotą cię muchą uraczył, kiedy zraniona leżałaś głodna na trawie? O, siostrzo moja ropucho, dżdżownicę lepka i śliska, o, bracie wężu ślimaczkę w sercu leżącą mi na dnie! Odchodzę od was, bo księżyc nad miastem wisi za nisko kulą ognistą, która płonąc — za chwilę upadnie.

O, nieraz tak odchodziłem znad łąk rozmokłych i rowów znad stawów zielskiem porośłych i gęstem złotem sitowiem. O, nieraz tak odchodziłem, by znowu przybierać i znowu, gdy rechot żabi rozgwarem, a księżyc wystrzelił mi nowiem. A przecież potem i w mieście wśród trzypiętrowych kamienic gdy na kwadracie podwórka gdzieś pod śmietnikiem, lub patrzyłem w księżyc — to nie był dla mnie zwyciężnym kamieniem, ani zwyczajnym księżycem, co świeci nocną latarnią. Toż trzeba było księżycu, by z domów baby wyległy jak kwoki, dzieci kwileniem powietrze macić przy studni. Toż trzeba było księżycu, by słowa przepalić na cegły by buty i końskie kopyta po bruku mogły zadudnić. Toż przy księżycu się nieraz myśli buntarskie i wzniosłe rodziły, gniewem parszając, by lawą runąć spiętrzoną! Toż przy księżycu na strychu w nocie grudniowej ja rośłem! Toż przy księżycu na strychu myśl się zrodziła szalona....

A teraz ślepia kaprawe — napróżno wytyżam na księżyc, napróżno na serce ziemi, padając, przykładam ucho. Napróżno! Bo ryk mi maszyny oslepił, ogłuszył, zwyciężył — O bracie wężu ślimaczkę, o siostrzo moja, ropucho!

feudalną) i na jej miejsce opierać się na nowych zastępach biurokracji mieszczańskiej. Nowa klasa była awangardą postępowych wtedy warstw burżuazyjnych. Związana z niemi nie tylko węzłami pochodzenia, ale i pokrewieństwem interesów materialnych nadawała żywołowym i nieświadomym dostatecznie tendencjom stanu trzeciego mniej lub więcej przejrzyste kształty teoretyczne. Za dyktatury Konwentu, a raczej Komitetu Ocalenia Publicznego ona właśnie była tej władzy wyłączną dzierżycielką. Ale i ona też chwyciła władzę w swe ręce za czasów krwawej reakcji termidoriańskiej.

I oto tutaj właśnie zbliżamy się do sedna sprawy, a mianowicie stosunku świadomości klasowej do obiektywnych interesów danej klasy. Zubrzycki zdaje się nie dostrzegać różnic pomiędzy temi dwoma pojęciami, identyfikując, co prawda tylko między wierszami, przedmiotową przynależność klasową z subiektywnym poczuciem tej przynależności. Szereg najrozmaitszych warunków obiektywnych — wyliczanie ich zajęłoby zbyt dużo miejsca — wiązał interesy inteligencji 18-tego i pierwszej połowy 19-tego wieku z mieszczaństwem.

Czy jednak znaczy to, że inteligencja była wtedy — mówiąc za Zubrzyckim — „monolityczna”? Czy znaczy to, że wszyscy członkowie inteligencji byli szermierzami rewolucji? Oczywiście, że nie. Wszak kolegą szkolnym Robespierre'a był potomek rodziny mieszczańskiej Sulleau, znakomity publicysta wojującej kontrewolucji. Podobnie też i w każdej innej grupie społecznej stanu trzeciego istniały bądźto pod wpływem różnych interesów ekonomicznych, bądźże mimo nich — odłamny rojalistyczne i rewolucyjne. „Synchroniczność” świadomości i przynależności klasowej to zjawisko bardzo rzadko spotykane w historii.

Tak się już bowiem dzieje, że świadomość kroczy nie na czele, ale w ognie faktów dziejowych, społecznych i gospodarczych. Nie rozumiał tej prawdy piękny duszny humanista Goethe, pojął ją natomiast doskonale wielki tradycjonalista de Maistre, który pisał: „Nie ludzie rządzą wydarzeniami, lecz wydarzenia ludźmi”.

Wyrazem zorganizowanej świadomości klasowej jest partja polityczna; czyż możemy wobec tego powiedzieć, że partja grupuje w sobie całą klasę, albo też na odwrót, że dana klasa społeczna mieści się bez reszty w takiej czy innej partji politycznej? Oczywiście, że jest to nonsens. Partja może być jedynie reprezentantem interesów określonej grupy społecznej, z drugiej jednak strony członek tej grupy może mieć zgoła odmienne pojęcia o swych interesach, a nawet — i to jest najważniejsze — nie musi mieć subiektywnego poczucia przynależności do klasy, do której jednak obiektywnie należy. Zjawisko takie spotyka się najczęściej w łonie inteligencji pracującej, która będąc „międzyklasą”, penetruje, jak to słusznie sformułował Zubrzycki, „wgląd innych określonych grup społecznych”. Jeśli postawimy ją pomiędzy klasami mieszczańskimi a proletariatem, wówczas kierunki tej penetracji wyodrębnią wyraźnie w inteligencji pracującej dwie warstwy: górną, łączącą się z burżuazją i dolną, ciężącą swemi interesami ku innym warstwom pracującym, objętym wspólnym mianownikiem proletariatu.

Już tylko pobieżna analiza obu tych grup inteligencji ujawnia zmiany ilościowe, zachodzące w ich obrębie, a przekształcające się w ostatecznym rezultacie w różnice jakościowe. Potęgująca się bowiem coraz bardziej pauperyzacja powoduje stopniowy a konsekwentny wzrost inteligencji „proletarjackiej”, czy raczej sproletarizowanej, kosztem grupy „górnej”, której liczebny stan posiadania kurczy się z dnia na dzień.

Jeśli nawet nie zmniejsza się liczba świetnie uposażonych dyrektorów koncernów, fabryk, banków, prezesów i członków rad nadzorczych, prokurentów itp. — to jednak należące dawniej do tej grupy warstwy zawodów wolnych ciężą coraz bardziej wdół, zasilając szeregi szerokich mas spauperizowanej inteligencji pracującej. W ten sposób nadchodzi moment, w którym conajmniej 90% inteligencji stanowi już „monolityczną” pod względem położenia gospodarczego klasę ludzi pracy. Pragnąłbym tu podkreślić raz jeszcze, że nie mam na myśli procesów, rozgrywających się w świadomości inteligenta, lecz zmiany obiektywne.

Pod koniec 18-tego wieku inteligencja była z pochodzenia przeważnie mieszczańska. Zubrzycki przedstawił bardzo dokładnie, jak rozszerzyła się jej baza społeczna w wiekach następnych, jak deklasowaniu się wdół mieszczaństwa towarzyszył proces deklacji „w górę” warstw robotniczo-chłopskich, czy jednak wnioski, jakie wysnuł z tego wywodu genetycznego, są prawdziwe, o tem wątpić należy.

Przedewszystkiem nie można się zgodzić na przesunięcie całej inteligencji nietechnicznej na „marginesy produkcji”, gdyż działalność gospodarza jest wprawdzie najważniejszą, ale bynajmniej nie jedynym objawem produkcji. Działalność uczonych, artystów, myślicieli, literatów i t. p. jest zapewne mniej „użyteczna”, niż praca inżynierów (spór o większą czy mniejszą użyteczność byłby tu zgoła bez sensu), ale jest w każdym razie produktywna, jest czynnikiem produkcji umysłowej. Dlatego też wyliczanie jednym tchem tej inteligencji rzekomo pozaproduktywnej obok bezrobotnych czy „lumpenproletariatu” jest naszym zdaniem błędne.

Po drugie, autor „Marginesów walki”, nie dostrzegając wspólnej bazy ekonomicznej dzisiejszej inteligencji pracującej (grupy „dolnej”), odmawia jej cech klasy społecznej. Zdaniem jego mówienie o inteligencji jako „klasie społecznej w dziś przyjętem znaczeniu tego sło-

BRUNO SCHULZ

JESIEŃ

Znacie ten czas, gdy lato tak bujne i pełne wigoru jeszcze niedawno, lato uniwersalne, obejmujące w swej rozległej sferze wszystko, co tylko pomyśleć się dało — ludzi, wypadki i rzeczy — pewnego dnia dostaje ledwo dostrzegalną skazę. Blask słońca spada jeszcze rześcicie i obficie, w pejzażu jest jeszcze wielkopański, klasyczny gest, który tej porze roku przekazał w spuściznie genjusz Poussina, ale — rzecz dziwna — wracamy z porannej wycieczki dziwnie znudzeni i jałowi: czyżbyśmy się czegoś wstydzili? — Czujemy się trochę nieswojo i unikamy wzajemnie naszych spojrzeń — dlaczego? I wiemy, że o zmierzchu pójdzie ten i ów z zakłopotanym uśmiechem w ustronny kąt lata zapukać, zapukać w ścianę, czy ton jest jeszcze całkiem pełny, rzetelny. Jest w tej próbie przewrotna rozkosz zdrady, zdemaskowania, lekki dreszczyk skandalu. Ale oficjalnie jesteśmy jeszcze pełni respektu, pełni lojalności: Taka solidna firma, tak znakomicie ufundowana firma... I mimo to, gdy następnego dnia rochodzi się wieść o kursie — jest to już wiadomość przedwczorajsza i nie ma już eksplodującej siły skandalu. I podczas gdy licytacja bierze swój trzeźwy i ożywczy bieg, sprofanowane apartamenty opróżniają się i ogałacają i stają się pełne jasnego, trzeźwego echa — nie budzi to żadnego żalu czy sentymentu: cała ta likwidacja lata ma w sobie jakąś lekkość, opieszalność i błahość spóźnionego karnawału, który się przeciągnął w popielec.

A jednak pesymizm jest może przedwczesny. Jeszcze toczą się rokowania, jeszcze rezerwy lata są niewyczerpane, może przyjdzie jeszcze do pełnej restytucji... Ale rozważa, zimna krew nie są rzeczą letników. Nawet hotelarze, hotelarze po uszy zaangażowani w akcjach lata — kapitulują. Nie! Tak mało lojalności, pietyzmu wobec wiernego sojusznika nie świadczy o wielkim stylu kupieckim! Są to kramikarze, mali i tchórzliwi ludzie, nie myślący na daleką metę. Każdy z nich przyciska do brzucha uciulaną sakiewkę. Zrzucili cynicznie maskę uprzejmości, zdziewają smokingi. Z każdego wylążyły były płótnicy...

I my także pakujemy kufry. Mam 15 lat i jestem całkiem nieobciążony obowiązkami praktyki życiowej. Ponieważ jest jeszcze godzina do wyjazdu, wybiegam jeszcze raz, pożegnać lotnisko, zrewidować dorobek tego lata, zobaczyć, co można zabrać ze sobą, a co już trzeba nazawsze zostawić w tem mieście skazanem na zagładę. Ale w małym rondo parkowym, pustem teraz i jasnym w słońcu popołudniowym, przy pomniku Mickiewicza rozwidnia mi się w duszy prawda o przesileniu lata. W euforii tego objawienia wstępuję na dwa stopnie pomnika, zatacam wzrokiem i rozpustartem rękoma łuk pełen rozmachu, jakbym się zwracał do całego lotniska i mówię: Żegnaj cię, Poro! Byłaś bardzo piękna i bogata. Żadne inne lato nie może się porównać z Tobą. Dziś to uznaję, choć nieraz byłem bardzo nieszczęśliwy i smutny z Twego powodu. Zostawiam Ci na pamiątkę wszystkie moje przygody rozsiane po parku, po ulicach, po ogrodach. Nie mogę ze sobą zabrać moich 15 lat, one już tu nazawsze zostaną. Prócz tego na werandzie willi, w której mieszkałem, włożyłem w szparę między dwoma belkami rysunek, który zrobiłem Ci na pamiątkę. Ty teraz schodzisz między cienie. Razem z tobą zjeżdżie całe to miasto will i ogrodów do krainy cieniów. Nie maćie potomstwa. Ty i to miasto umieracie, ostatnie z rodu.

wa ma niewiele więcej sensu, niż zaliczanie nauczyciela wiejskiego do przedstawicieli burżuazji, jak to niekiedy lubią robić nasi wiejscy praktycy polityczni*.

Niemożność pojmowania inteligencji jako klasy społecznej motywuje Zubrzycki różnorodnością pochodzenia i złożonymi funkcjami społecznymi. Czy motyw te są naprawdę istotne? Pierwszy z nich, mówiący o pewnych więzach pochodzeniowych, nie może mieć żadnego wpływu na powstanie obiektywnej wspólnoty interesów, a co najwyżej odgrywa pewną rolę w przekroju subiektywnym. Podobnie też i złożoność funkcji społecznych nie wyklucza w żadnym wypadku tej wspólnoty, którą określa *identyczne położenie materialne pracowników umysłowych, nie posiadających własnych warsztatów produkcji**.

Zubrzycki widzi jedynie kształtującą się odrębność klasową tych grup inteligencji, „których praca wiąże się z administracyjnymi, politycznymi i wychowawczymi funkcjami państwa oraz związanych z państwem organizacją społecznych i samorządowych”. Jedynie tej grupie „inteligencji kombatanckiej” i urzędniczej gotów jest przyznać autor cechy nowej powstającej klasy społecznej, a to dzięki roli, jaką odegrała ona i odgrywa w kształtowaniu się współczesnych państw faszystowskich. Otóż nasuwa się tutaj zastrzeżenie dość istotne. Wydaje mi się, że nie można łączyć w jedną klasę wysokich dygnitarzy państwowych czy partyjnych z urzędnikami podrzędnego gatunku, którzy, jak to stwierdza Zubrzycki, pobierają mizerne wynagrodzenie. Gdy pierwsi należą obiektywnie do grupy dyrektorów konsernowych itp., drudzy również obiektywnie wchodzą raczej

Ale nie jesteś bez winy, o Poro. Powiem Ci, w czym leżała Twa wina. Nie chciałaś, o Poro, poprzestać na granicach rzeczywistości. Żadna rzeczywistość nie zaspokajała Cię. Wybiegałaś poza każdą realizację. Nie znajdując dosytu w rzeczywistości, tworzyłaś nadbudowy z metafor i figur poetyckich. Poruszałaś się w asocjacjach, w aluzjach, w imponowalnościach między rzeczami. Każda rzecz odsyłała do innej rzeczy, tamta powoływała się na dalszą i tak bez końca. Twoja swada nużyła w końcu. Miało się dość tego bujania na falach nieskończonej frazeologii. Tak jest, frazeologii — wybaczone słowo. Stało się to jasne, kiedy tu i tam, w wielu duszach zaczęła się budzić tęsknota do istotności. Z tą chwilą byłaś już przezwyższona. Ukazały się granice Twojej uniwersalności, Twój wielki styl, Twój piękny barok, który za dobrych Twych czasów był adekwatny rzeczywistości, okazał się teraz manierą. Twoje słodycze i Twoje zadumania miały na sobie piętno młodzieńczej egzaltacji. Twoje noce były ogromne i nieskończone, jak megalomaniczne natchnienia zakochanych, albo były rojowiskami widziadeł, jak bredzenia halucynujących. Twoje wonie były przesadne i nie na miarę ludzkiego zachwyty. Pod magią Twego dotknięcia dematerializowała się rzecz wszelka, rosła ku dalszemu, coraz wyższemu formom. Jadło się Twoje jabłka, marząc o owocach rajskich krajobrazów, a przy Twoich

TADEUSZ HOLLENDER

Do Marji

*Jeżeli płynąć można bez ruchu i prądu,
a życie samem życiem beznamiętnie zmóc,
niech się krew w nas wysila, bez pomocy płuc
niech przypadek zanosz od ładu do ładu.*

*A gdy nawet inaczej — to zawsze daremnie,
księżyc gwiazdy wymija, zakwita jak kwiat,
co roku krwawi próżno, beznamiętnie sad,
i co roku jest puściz, samotniej, nikczemniej.*

*Wiecznie noc w atramencie, pełna sztucznych myśli,
w końcu pióra na kropli trzepoce się nów,
aż z błotem dnia zmieszani, pod ciężarem słów
wynurzymy się kiedyś w zaświatowej Wiśle.*

*Gińmy więc teatralnie. Wprzód podani ciałem,
świadomi, że przy żadnej z efektownych póź
ściany domu nie pękają, nie sygnie się gruz,
że tak miną samotnie ciała obolale.*

*Wytrwać? — wytrwać nie można, nie można doczekać,
zawsze dzwoni zwycięsko teatralny szcęk,
broń z sypkich rąk wypada, przelewa się lęk
w monotonna a wiecznie bez odpływu rzekach.*

*I już wiem, że się weszło w drogę bezpowrotną,
że wiecznie rwać się będzie niewidzialna nić.
I może tak... i może... żeby można żyć
zwycięstwem naszej kłęski — ten sen i samotność.*

*Na scenie — spójrz — to Sennor Sempre Teatral
i Sennorita Poza wśród tragicznych drzew.
— Dlatego czasem czysto leje się ich śpiew,
że się nazbyt jaskrawym otulają szaleem.*

*Za to, ku nietutejszym wiałując krawcom,
zo wiecznie ciemnością samotniczy gest
— nam — wiedzieć, czuć i śpiewać. Musi być — jak jest,
— o, jak i ja zgubiona i samotna Marjo.*

w skład spauperyzowanej inteligencji pracującej. Inna rzecz, że rola, jaką spełniają, stawia ich w jednym szeregu z broniącym swych placówek kapitalizmem i czyni z nich wrogów klasy, z której pochodzą. Podobnie też i ów wspomniany przez Zubrzyckiego nauczyciel wiejski będzie uchodził za przedstawiciela burżuazji, o ile opowie się za nią.

W powstawaniu ruchów faszystowskich Zubrzycki wyolbrzymia rolę owej inteligencji urzędniczej, nie doceniając zarazem znaczenia kapitalizmu, jakkolwiek wiadomo dziś powszechnie, że monopol partii faszystowskiej jest pseudoideologicznym wyrazem kapitalizmu monopolistycznego. Za „monopartiami” stoją grupy „monokapitalistyczne”, we Włoszech kapitał medjolański i spółka, w Niemczech — westfalsko-nadreński. Fakt zaś, że mocodawcy lubią (przynajmniej w okresie walki o władzę) pozostawać w cieniu i kryć się poza obłoną frazeologii pseudorewolucyjnej, świadczy tylko chwalebnie o ich sprycie i zręczności politycznej.

Jeśli partja narodowo-socjalistyczna ma przydomek „robotnicza”, to nie jest to, jak twierdzi Zubrzycki, legenda „obmyślona przez cierpiących na przerosz kompleksu niższości intelektualistów dla ludzi sobie podobnych”. Nie „kompleks małowartości”, ale wytrawna strategia demagogiczna kazała brunatnym bataljonom wyruszyć do boju pod firmą robotniczą. Ale dla Zubrzyckiego faszizm nie jest bojową formą rządów burżuazji, lecz rządem „nowej burżuazji (!) urzędników i funkcjonariuszy państwa, partji i wszelkich przybzdówek”. Ta nowa klasa zajęła rzekomo „miejsce liberalnej burżuazji, rządzącej demokracjami Europy przed nie tak dawnymi jeszcze laty”.

Autor nie wyjaśniał nam niestety, dokąd ta klasa posłała — burżuazję.

Stanisław Salzman

brzoskwiniach myślało się o owocach eterycznych, któreby się spożywało samem powonieniem. Miałaś na swojej palecie tylko najwyższe rejestry barw, nie znałaś sytości i jędrności ciemnych, ziemistych, tłustych brązów. Jesień to tęsknota duszy ludzkiej do materialności, do istotności, do granic. Gdy z niezbadanych przyczyn, metafory, projekty, marzenia ludzkie zaczęły tęsknić do realizacji, przychodzi czas jesieni. Te fantomy, które dotychczas rozprószone w najdalszych sferach ludzkiego kosmosu zabarwiały jego wysokie sklepienia swymi widmami — ściągają teraz do człowieka, szukają ciepła jego oddechu, ciasnego przytulnego schronienia jego domu, niszy, w której stoi jego łóżko. Dom człowieka staje się, jak stajenka betlejemska, jałwym, dookoła którego zagęszczają przestwór wszystkie demony, wszystkie duchy górnych i dolnych sfer. Skończył się czas pięknych klasycznych gestów, łacińskiej frazeologii, południowych teatralnych zaokrągłeń. Jesień szuka sobie jędrności, prostackiej siły Dürerów i Breughelów. Pęka ta forma od nadmieru materji, twardej w węzły i sęki, chwytą ona materję w swe szczęki i kleszcze, gnębi ją, gwałci, ugniata i wypuszcza z swych rąk z śladami tej walki, kłody nawpół obrobione z piętnem niesamowitego życia w grymasach, które im wycisnęła na drewnianych twarzach.

Takie i jeszcze inne rzeczy mówiłem do pustego półokręgu parku, który się jakby przedemną cofał. Wyrzuciłem z siebie tylko niektóre słowa tego monologu, bądź to dlatego, iż nie mogłem znaleźć słów odpowiednich, bądź to dlatego, iż markowałem tylko przemówienie, uzupełniając brakujące słowa gestami. Pokazywałem orzechy, klasyczne owoce jesieni, spokrewnione z meblami pokoju, pożywne, smaczne i trwałe. Przypominałem kasztany, te politurowane modele owoców, bilboklety stworzone do zabawy dla dzieci, jabłka jesienne, czerwieniejące dobrą, domową, prozaiczną czerwienią na oknach mieszkań.

Zmierzch już zaczął zacządzac powietrze, gdy wróciłem do pensjonatu. Na podwórzu stały już dwa duże powozy przeznaczone do naszego wyjazdu. Rozkulbaczony konie parskały z głowami pogrążonymi w workach obroku. Wszystkie drzwi były narozcież otwarte, świece płonące na stole naszego pokoju pełgały na przeciągu. Ten szybko zapadający zmrok, ci ludzie, którzy potracili twarze w zmierzchu i wynosili pośpiesznie kufry, nieporządek w otwartym, zgwałconym pokoju, wszystko to robiło wrażenie jakiejś pośpiesznej, smutnej, zapóźnionej paniki, jakiejś tragicznej i spłoszonej katastrofy. Wreszcie zajeliśmy miejsca w głębokich powozach i ruszyliśmy. Powiało na nas ciemne, głębokie, tęgie powietrze polne. Woźnice wylawiali z tego upojonego powietrza soczyste trzaski długimi biczami i wyrównywali starannie rytm koni. Potężne, odsadzone wspaniałe kłęby ich kołysały się w ciemności wśród puszystych uderzeń chwostów. Tak niosły się wśród samotnego, nocnego pejzażu bez gwiazd i świateł jeden za drugim te dwa konglomeraty z koni, dudniących pudeł i sapiących miechów skórzanych. Chwilami zdawały się rozpadać, rozlatywać jak kraby dzielące się w biegu na części. Wtedy woźnice ujmowali silniej lejce i zbierali do kupy rozluźnione tętenty, zwierali je w karne, regularne kadry. Od zapalonych latarni padały długie cienie w głąb nocy, wydłużały się, odrywały i wielkimi skokami mknęły w dzikie pustkowia. Umykały chyłkiem na długich nogach, ażeby gdzieś daleko pod lasem, natrzasać się urągliwymi gestami z woźniców. Woźnice trzaskali ku nim szeroko batami i nie dawali się wyprowadzić z równowagi. Miasto już spało, gdy wjechaliśmy między domy. Tu i ówdzie paliły się latarnie w pustych ulicach, jakgdyby w tym celu stworzone, by oświetlić jakiś dom o niskim piętrze, balkon, lub wrazić w pamięć numer nad zamkniętą bramą. Zaskokzone nagle o tej późnej porze, zamknięte ślepo sklepiki, bramy z wyslizganymi progami, targane przez wiatr nocny szyldy ukazywały beznadziejne opuszczenie, głębokie sieroctwo rzeczy pozostawionych samych sobie, rzeczy, zapomnianych przez ludzi. Powóz siostry skręcił w boczną ulicę, podczas gdy my pojechaliśmy na rynek. Konie zmieniły rytm biegu, gdy wjechaliśmy w głęboki cień placu. Bosy piekarz na progu otwartej sieni przeszył nas spojrzeniem ciemnych oczu, okno apteczne, jeszcze czuwające, podało i cofnęło balsam malinowy w wielkiej bani. Bruk zgęstniał pod nogami koni, z gmatwaniny tętentu wydzielili się pojedyncze i zdwojone szczęki podków, coraz rzadsze i wyraźniejsze i dom nasz z odrapaną fasadą wysunął się zwolna z ciemności i zatrzymał przed pojazdem. Służąca otworzyła nam bramę, trzymała w ręku naftową lampę z reflektorem. Na schodach wyrastały ogromne nasze cienie, łamiąc się aż na sklepieniach klatki schodowej. Mieszkanie było teraz tylko świecą oświetloną, której płomień chwiał się od powiewu otwartego okna. Ciemne tapety porastała pleśń zgrzytot i goryczy wielu chorzych pokoleń. Stare meble, zbudzone ze snu, wydobyte z długiej samotności zdawały się z gorzką wiedzą, z cierpliwą mądrością patrzeć na powracających. Nie uciekniecie od nas — zdawały się mówić — w końcu musicie powrócić w krąg naszej magji, bo podzieliłszy już zgóry między siebie wszystkie wasze ruchy i gesty, wstania i siadania i wszystkie wasze przyszłe dni i noce. My czekamy, my wiemy... Ogromne, głębokie łóżka czekały, pełne spiętrzonej, chłodnej pościeli, na nasze ciała. Szluz nocy skrzypiały już pod naporem ciemnych nas snu, gęstej lawy, która gotowała się wylać z stawideł, z drzwi, z szaf starych, z pieców, w których powzdychiwał wiatr.

* Dla uniknięcia ewentualnych nieporozumień wyjaśniam, że np. w zakresie produkcji literackiej warsztatem jest wydawnictwo, dzięki któremu utwór literacki staje się naprawdę produktem w sensie ekonomicznym.

HALINA GÓRSKA

KOMITETY

Fragment powieści „Barak plonie“

W izbie Boniorów paliło się tej nocy do późna. Boniorowa prała. Prała zawsze w nocy, bo od rana trzeba było stawać w ogonkach różnych opiek, komitetów, kółek.

Kazik spał na swoim wąskim, zbyt już dla niego krótkim łóżeczku, z nogami zadartymi na ścianę i szeroko rozrzuconymi rękami. Nawet przez sen rzucał się, z kimś się mocował, o coś spierał i czegoś żądał.

Aż się musiała uśmiechnąć, kiedy na niego spojrziała, choć wzbierała w niej złość.

— Cholera! — pomyślała — ciągle mu się czegoś innego zachciewa, a uparty taki, że jak sobie co w głowę wbije, to trzy patyki na nim połam — zrobi! To mu daj, to mu kup, ale żeby poszedł z matką o coś poprosić, żeby jak inne dziecko przypochebnie popatrzył, żeby się o co w szkole podał, to nie! Hardy był jak djabeł. „Zebrał nie będę!“

Tarla białinę z coraz większą wściekłością.

— Ale zreć to chcesz?! Co? Zreć to chcesz?! — kłóciła się w myśli z synem.

Nie na długo jednak starczyło jej sił i na tę złość i na to tarcie. Ogarniała ją coraz większe zmęczenie. Biły na nią poty, bolało ją serce. Od pewnego czasu coraz częściej. Przykucnęła na stołku.

— Co robić? Ma to po ojcu! — stwierdziła nagle z westchnieniem, niepozabawionem dumy i spojrziała na męża.

Spał z głową odrzuconą w tył i zaciśniętymi na kółdrze rękami, jakby (podobnie jak Kazik) z czemś się zmagał czy siłował. Tylko podłóżna, głęboka zmarszczka między brwiami nie ustępowała nawet we śnie.

Boniorowa podniosła się i patrzyła, chciwie, nienasyconie. Teraz, kiedy mogła oglądać niespostrzeżenie, niekępowana przez tę dziwną nieśmiałość, która zawsze ogarniała ją w obecności Andrzeja.

O czym myślał? Dlaczego gryzła go i dręczyła troską dokuczliwszą niż innych? Dlaczego gonił tak od rana do wieczora za pracą, jakby mu się ziemia paliła pod nogami? Czy to pędziła go, albo gnębiła jak inne żony? Czy to brakowało mu może czego w domu? Dlaczego chwycił się więc tak po głupiemu, tak bez zastanowienia każdego zajęcia, że czasami brał jakąś robotę, która mu się nawet za zasiłek nie opłacała? Dlaczego uciekał od rana z domu i cały dzień wałęsał się po mieście? Czy nie miał zawsze zgotowanego i wypranego, a w izbie czysto i ciepło?

— Wy, Boniorowa — mówiła do niej nieraz Rudzka, mrużąc wąskie szpareczki swych złych, latających oczek — to niedługo chyba nawet do kahału pójdziecie!

Mówiła tak przez zadróść, bo ona nigdyby nie potrafiła tak się urządzić jak Boniorowa. Przedewszystkiem — sama gęba: jakże źle i latające, pysk zawsze z jednej strony spuchnięty albo oko podbite (już jej stary o to się troszczył), czerwona chustka krzywo na łbie siedzi, kaftanik brudny, zatłuszczony i rozchełstany, a ozór jak u przekupki z Krakowskiego. Ani to nie spojrzysz rzewnie, ani się nie uzali, ani nad rączką dobrodziejki nie pochyli, ale gębę rozewrze jak wrota i w krzyk, jakby jej się co z urzędu należało i zastanowienia żadnego ta Rudzka nie miała! Co tylko ślina jej na język przyniosła, to wrzeszczała: A to, że kradną, a biednym nie dają, a to, że dla kapeluszyowych wszystko jest, tylko dla biednego człowieka nic, a to, że ona już sobie sprawiedliwości poszuka, ona już pójdzie gdzie trzeba!

Pewnie, że kradną. Pocoby te wszystkie komitety robili, jakby nie kradli? Każdy chce żyć. Ale i tak człowiek może się przytem pożywić.

Stanie Boniorowa skromnie w ogonku, cicho i cierpliwie swojej kolei czeka. Bluzeczka na niej wyłatana ale czyściutka, czarna, starannie pocerowany szalik na lepsze czasy wskazuje, niebieskie załawione oczy parzą pocziwie, smutnie i pokornie. I żadnych na porządku czy wyczekiwanie wyrzekań, żadnych z kumoszkami konfidencji, które łatwo ktoś podsłuchać może! Najwyżej na biedę swoją się uzali, albo westchnie, że gdyby nie dobrzy ludzie. A kiedy ktoś o dobrodziejach urągliwym słowem bluźnie, to tylko uszy zasłania, albo drobnią, suchą rączką odmachuje się.

A potem to już zależnie od towarzystwa czy komitetu.

U świętego Wincentego a Paulo dobrodziejkę w rączkę pocałuje, za wszystko co otrzymała, a w szczególności za ten obrazeczek patronki swojej, której całą izbę rozweselił, podziękuje. O tem, że jej się po spowiedzi lżej jakoś na sercu zrobiło, wspomni. I nigdy niezadowolona żadnego! Za wszystko wdzięczna i błogosławiąca.

W „Akcji“ znowu inaczej. Rękę skromnie, ale z godnością poda, a potem, że niby trzebaby z Kazikiem do poradni (tylko, że nawet tej koszuli całej dziecko na grzbiecie niema) i o higienie (tylko, że co do mydła...) i że dobrze było, jak powiedziała doktorka, na spacer, ale skąd pałto i buty?

A znowu w siódmym wydziale magistratu — rzeczowo, spokojnie, ze świadomością swoich praw i z uporem.

A w komitecie Opieki Pozaszkolnej, że niby najważniejsza rzecz — nauka. Ale jakże do szkoły bez płaszcza i butów?

A u Sióstr, że już ona te wszystkie swoje cierpienia do Serca Jezusowego dawno ofiarowała, choć Bóg wie, że do czego innego była przyzwyczajona. Tym garnuszkiem zupy, co jej kochane siostrzyczki dają i tym kawałkiem chleba swoich przeżywi i na nic się nie skarży, bo kogo Pan Bóg miłuje, temu krzyżyki posyła.

A w każdym miejscu, że to jedyni opiekunowie, jedyna ostoja i nadzieja.

A jeżeli się nawet gdzieś wywiedzą, że ona i do innego towarzystwa i komitetu należy, to Boniorowa, broń Boże, pyska jak Rudzka nie wywrze i nie wykrzyczy, że jakby na ich łach i pół litra mleka dziennie, albo na ich garnuszek wodzianki człowiek liczył, toby dawno z rodziną z głodu zdechł. Zachowaj Boże! Uśmiechnie się tylko, ręką machnie i powie z bezgraniczną pogardą:

— Tamci? E... e... Ta jejich opieka! Mówić proszę pani niema o czem! Co innego państwo! Jakby nie państwo, to chyba z dziećmi pod pociąg!

I dlatego u Boniorów nie przelewało się wprawdzie, ale i nie głodowali.

Prawda i to, że nie lekka to była praca i niewesoła, te komitety. Od rana do wieczora trzeba było latać, marznąć, zabiegać, wystawać, aż jej nogi puchły. A w domu — żeby choć jakie dobre słowo czy spojrze nie! Kazik, jak Kazik — zwyczajne dziecko. — Ale — on? Czy to ucieszył się czem kiedy albo za co pochwalił? Jadł tak, jakby mu każda łyżka w gardle stała, a kiedy przyniosła mu raz z komitetu marynarkę, szurnął ją w kąt. Nie śmiała nawet nigdy zapytać dlaczego jej nie nosi.

Taki już był zawsze dla niej dziwny, obcy i niezrozumiały ten Andrzej.

ANNA KOWALSKA

DZWONY

Dzwony były wodnemi kręgami. Serce dzwonów wpadało w senność stawów milczenia. Byliśmy w środku ciszy a teraz w środku dzwonienia. Dźwięki przelewały się strumieni uliczkami wdół.

Ulica Kurkowa półmartwa, półuroczysta wygrzewała się w młodem słońcu. Pan Mieczysław pokazywał pani Marji Lwów. Zatrzymywaliśmy się i patrzyli pod słońce na stare miasto tam wdole czarne i we mgle, i na nowe miasto, wybiegające na pagórki. Szliśmy dalej a kroki odbijały się echem, jak w starożytnem mieście zwiedzaniem przez turystów.

Na rozhuśtanych dźwiękach przydzwoniło się wspomnienie Werony. Dotąd nieużyte. Jedenaście lat temu. Upał. Marmurowy zaułek koło placu Dantego. Naprzeciw tyłu kamienic wychodzących na *Piazza delle Erbe*. Starożytne, szanowne mury. Ganki i schody nazwane nątrz. Kłęczę przy łóżku. Twarz na poduszce szara, oczy twardem ogniem celują w Garibaldię w czerwonej kapie, namalowanego na suficie. Gorączka: czterdzieści stopni z kreskami. Nie wiemy, co za choroba, może malaria. Niema pieniędzy na doktora. Jemy tylko owoce i chleb. Właściciel Cavaliere M. i służąca Angelica patrzają niechętnie, gdy wracam z brzoskwiniami z targu. Co godzinę, co kwadrans, nad uliczką bije dzwon. Widać czarny jego cień na białem niebie. Z dzwonu spadają mosiężne i srebrne obręcze udręki. Dzwon niesie się aż za Arno. Gdy dzwon przestaje bić, słychać po chwili kopę uderzającą o bruk. Konie dorożkarskie stoją na rogu. Opędzają się od much. I znowu dzwon.

Pijemy wodę z cytryną. Niema pieniędzy na gazetę, więc gdy szarzeję, zabawiam się opowiadaniem. Układamy dla rozrywki powieść. Nieszczęścia, cierpienia i trwogi jakichś ludzi do nas podobnych i trochę różnych. Zabawiają nas ich przygody.

Nie myślimy o pisaniu powieści. Znadto żyjemy. Nie wiemy o sobie nic. Nie jesteśmy świadomi ani niebezpieczeństwa ani szczęścia. Gdy się ma dwadzieścia jeden lat, nie wie się, że śmierć może zaskoczyć każdej chwili, bez wypowiedzenia. I nawet nie wie się, że nierozsądnie jest podróżować bez pieniędzy. Rozsądek, śmierć, to sprawy innych ludzi.

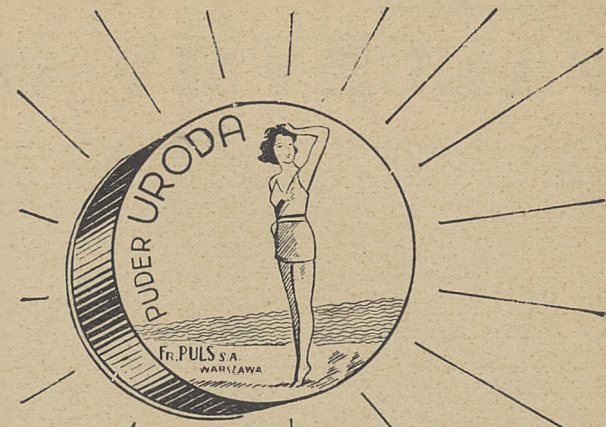
Zresztą wszystko łatwiej znieść, niż dzwon.

* * *

Słyszę obok nerwowy głos pana Mieczysława.

Przystajemy. Zachwycamy się krzakami młodego agrestu zieleniejącego za kratą. Klasztorny ogród. Oczy wygłodniały przez zimę. Z żarłocznością głodnych kóz pasą się tą zielenią.

Pan Mieczysław przeczytał wszystkie książki i dźwiga pychę, której się zapiera. Przyznaje się do smutku, ale nie do pychy. A przecie przez nią właśnie nie pisze. Nie może sobie pozwolić na dzieło niegębnialne. Raczej być anonimowym. Całym, nietkniętym sobą. Ma czterdzieści pięć lat i najchętniej cytuje tych autorów, których twórczość zaczęła się późno. Znam go od kilku lat. Co roku staje się surowszy. Zdaje się, że w ten sposób mniej się męczy. Czasem jednak zachwyca się jakąś książką. Wtedy odpoczywa. Cytuje. Ma chłopięcy uśmiech i tak jest bezbronny, że nie można patrzeć nań ani mówić. Trzeba udawać, że się wogóle nie



NOWA KOMPOZYCJA
PULSA PUDRU
URODA

- 15 kolorach

Idealnie przylega, miły w użyciu.
Nadaje się do każdej cery.

FR. PULS S.A.
Skład główny: Warszawa, Wierzbowa 11

jest. Straszna wstydlivość człowieka, który ma odwagę powiedzieć, że nie jest mu obojętne być nawet dobrym. Może wzrusza się wtedy nad małym chłopcem, którym kiedyś był.

— Oto jest kościół świętego Antoniego — mówi pan Mieczysław.

— Jak tu pięknie. Co za szczęście mieszkać we Lwowie — mówi pani Marja. Przytakuje. Wiem, że to taki optativus irrealis. Szczerokość życzenia polega na tem, że się wie, iż się ono nie spełni, a tak przyjemnie jest móc sobie powiedzieć w cichej uliczce obsiedzonej klasztorami: chciałabym tu zostać. Zazdrości się mieszkańcom i powoli odchodzi się z głową odwróconą wstecz, jak dzieci. Jakby się nadsłuchiwało w samym sobie możliwości i oglądało się siebie zmienioną odmiennym rytmem dni za innymi murami. Z nieruchomymi oczami i nawpół uchylonemi ustami idzie się dalej.

Milczymy. Każdy z nas czuje siebie i tych dwu innych, którzy z nim idą i odróżnia smak tej chwili u siebie i u innych.

Zdaje mi się, że przeżywam coś, co za chwilę zepchnę ze świadomości, coś, czego nie uznaję. Odtrącam od siebie zgóry wyniki myśli, która wysnuwa się z ciszy tej chwili i rezygnuje. Zawiodłaby mnie dalej, niż mam siły przyjąć jej ostateczne konsekwencje.

W półmroku myślenia natrętnie obraca się cierpienie ścierpiętego mózgu: wszystko jest inaczej. Każde z tych słów zawiera osobną definitywną treść, nieprzekazalną, jak czucie własnego istnienia i całej odmierności.

Znowu patrzymy na miasto. Ale widzę je, jak nie mojemu oczami. I obojętne są oczy, które skierowuję, i gdy widzę, nie czuję nic, tylko jakby ktoś obok powiedział: zobaczyłem. A wiem, co on może zobaczyć. Czuję nietyle obcość, ile niezależność od tego, że patrzę, słucham, idę.

Myślę: przejdzie. A jak zostanie? Tak matki z trwożą ganią dzieci, które zezują.

Nie przeszło.

Nie czuję odrębności i kiedy mówię: ja, chciałabym odwołać to, jak pomyłkę. A gdy ktoś mówi: ja, widzę w tem system obrony samego siebie. Zapewne pan Mieczysław, który przeczytał wszystkie książki, potrafiłby to przyczołdźć jakimiś nazwami trudnymi do wymówienia. Poblżliwie i lekceważąco. Ale już dawno nie kolekcjonuję zieleników ni nazw.

Zmęczeni zawracamy. Z górki schodzą nastraszone zakonnice. Wargi ruszają im się, jak u rybek: modlą się. Mijają nas dumnie-pokorne, czarno-białe. Szumią szatami.

I nagle pani Marja, wielowiedząca, ostrożna pani Marja pyta mnie wprost: Czy pani mię lubi?

Stoję bezradna, bo to ma być odpowiedź na tamte rozmowy, gorzkie, umęczone, tak niepodobne do kobiety, która mię pyta.

To, czy ja lubię, jest dla mnie obojętne i nie mogę sobie siebie przypomnieć.

Jakanie wypadło, jak zawstydenie. Całujemy się. Przyciskamy ramię do ramienia. Co za szczęście, że można i tak rozmawiać.

Nad nami znowu dzwony. Dzwony bez końca. Wyganiają nas z ulicy klasztornej.

Oglądam się myślą za tym, którego przy mnie niema. I męczą mnie pani Marja i pan Mieczysław i samotność. Ale wiem, że gdyby nawet wrócić do Werony, nie wróciłaby niewinność nieświadomości. Najwyżej napisałibyśmy książkę i to nie tamtą układaną dla nas.

Raj jest utracony nazawsze.

SULFOCOL

„LAOKOON“

leczy chrypkę, kaszel i wszelkie choroby dróg oddechowych. Cena 1 fl. syropu zł. 2*80

Z PLASTYKI

WALCZYMY O ŻYWA SZTUKĘ

Obserwując twórczość malarską ostatnich okresów, łatwo stwierdzić, że znajduje się ona na martwym punkcie. Ruch artystyczny, praca i wystawy pewnych odłamów artystów nie przynoszą niczego nowego. Ciągłe nużące tożsamość, raz w lepszym, raz w gorszym wydaniu. Nie widać żadnego wysiłku, żadnych starań lub poczynań, któreby wniosły coś świeżego w zaspianą i nudną atmosferę. Wszystko odbywa się według szablonu, według przepisów po większej części sfabrykowanych jeszcze przed pół wiekiem, a które tylko w naszym prowincjonalnym środowisku uchodzić mogą za nowe. Publiczność okazuje bardzo małe zainteresowanie i słuszenie; malarstwo to jest dla niej rzeczą obcą, zupełnie z innych potrzeb wynika. Malarze sami są po większej części przyczyną istniejącego stanu. Zawieszeni w próżni, nigdzie nieprzynależni, z nikim niezłączeni, zamknięci w swoich pracowniach, ograniczają się od wszelkich przejawów życiowych i ruchów społecznych, uważając je nawet za szkodliwe. I tak się już przyjęło, że malować, to znaczy zajmować się tylko zewnętrzną powłoką malarstwa, formą i kolorem. Malarze mało interesują się tem, dlaczego dane formy lub kolory przybierają takie lub inne układy; wystarczą, aby ich zadowolili albo zainteresowała estetyczna lub dekoratywna strona jakiejś rzeczywistości, a już rozpoczynają się jej odrabianie i powtarzanie.

Na usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że nauczanie w akademjach ponosi częściowo winę tego stanu rzeczy. Profesor impresjonista wychowuje swego ucznia, narzucając mu swój sposób widzenia, przekazuje mu metodę podejścia do obrazu, zasadę malowania, dając do użytku gotową paletę malarską, gdzie pewna zasadnicza gama jest już wkomponowana. Cóż robi uczeń? Powtarza. Gdy, ukończywszy szkołę, ma możliwość wyjazdu zagranicę i sposobność samodzielnego patrzenia lub krystalizowania swojego wyrazu, i tam oczekuje go profesor, który prowadzi nadal tursurę w danej dziedzinie, a czego nie dokona sam, zrobi za niego środowisko, skupiające się dookoła nauczyciela. Rezultatem tego jest standartowa twórczość całego środowiska, „wszystko na jedno kopyto”; naturalnie, jeden robi lepiej, drugi gorzej — zależnie od talentu. Nie byłoby to jeszcze złem tak wielkim, gdyby profesor był albo wielkim twórcą lub conajmniej człowiekiem współczesnym, związanym z teraźniejszością, gdyby jego zasady i poglądy odzwierciedlały rzeczywistość istotną. Tak jednak nie jest; najczęściej jest on przenosią jakiegoś jeszcze starszego od siebie, a nawet nieżyjącego już artysty, którego eksploatuje, przenosząc w ten sposób swoje poglądy na uczniów, przelewa na nich rzeczywistość i metody nie żyjącej już generacji, która chociażby artystycznie była wartościowa, życiowo jest martwa, z czasem i obliczem dnia zupełnie niezłączona. Że w ten sposób nie może powstać nowa sztuka, jest jasne. Sposób nauczania jest fatalny, nietylko, że zabija wszelką inicjatywę i możliwość twórczą, ale przesłania współczesną rzeczywistość kotarą starszyny i odgranicza się świadomie od życia. Nic dziwnego więc, że widz dzisiejszy jest obojętny. Nie znajduje dla siebie niczego w pracach, w ten spo-

sób powstałych. W taki mniejwięcej sposób kształci się malarz bezduśznego impresjonizmu. Wcale nie lepiej robią modernisci. Różnica polega tylko na tem, iż ci artyści, przyjeżdżając do Paryża, zgłaszają swój akces do sztuki modernistów (Picasso, Braque, Gris, Leger, Orenfant, Chirico, Masson, Ernst i wielu innych), łącząc się z ludźmi młodymi, są bliżsi współczesności. Twórcy kubizmu, konstruktywizmu czy nadrealizmu, ceniąc i uznając sztukę swoich poprzedników, zerwali jednak z ich smakosztwem i kuchenną rozkoszą staruszków. Puściwszy wodzę fantazji i intelektu, stali się prawdziwymi rewolucjonistami formalistyki; przetrzaskali pompierów i starych rutyniarzy swoją inwencją i śmiałością. Wzbogacając oni współczesną sztukę całym szeregiem zdobyczy i wartości, których niestety wielu artystów nie dostrzega. Mimo wszystko jednak ta ostatnia awangarda nie odgrywa dziś większej roli. Mylnym nastawieniem tych ludzi była wybujała indywidualność, laboratoryjność i absolutna samotność twórcza. Topiąc w tyglach swoich mózgowic kształty, ci alchemicy formy doprowadzili do zupełnego zerwania już i tak cienkich nici, łączących widza z twórcą. Wytwarzanie artystyczne stało się prywatną, nikomu niepotrzebną. Porozumienie lub zrozumienie znajdowali ci artyści tylko między sobą i to niezawsze. Zwęzłili oni i tak wąski już pas oddziaływania do naukowej algebry. Jak długo ekonomiczna struktura Europy (powojennej) była dobra, różnego rodzaju snobi, nie rozumiejąc ich dzieł, chętnie je kupowali. Późniejszy jednak kryzys zachwiał popytem na obrazy, osłabiając temsamem żywotność tych ekstrawagancji.

Dziś, są to już tylko minione etapy rozwoju czy też pochodzenia historycznego. Stojąc na stanowisku, że każdy odruch artystyczny, jakkolwiek pozornie indywidualny, zawsze jest złączony z czasem i jest jego odbiciem (historyczny bieg wypadków jest taki, że sam wysuwa zagadnienia i stwarza teren nowej rzeczywistości), należy uznać zatrzymanie się pochodzenia awangardy artystycznej za kryzys społeczności mieszczańskiej, z której ci artyści wyszli. Społeczność ta nie jest już w stanie dać szerszego impulsu dla nowej twórczości. Pojście do twórczości artystycznej nie może być zbliżeniem się do nawierzchniej strony zagadnienia, gdyż niema nigdy i nigdzie nagromadzonych gotowych i nowych form; samo poszukiwanie lub tęsknota za formą lub kolorem nie jest jeszcze twórczością. Trzeba znaleźć przyczyny, które warunkują nowe widzenie, musi zaistnieć konieczność, która pozwoli nam zobaczyć rzeczywistość inaczej, niżeli dotychczas. Może to powstać tylko wtedy, kiedy zmienimy treść naszych dotychczasowych poglądów na treść nową, która nie będzie odbiciem tylko nas samych, ale także odbiciem głębokich i żywych sił społecznych. Siły te, które świadomie dążą do wytworzenia nowych warunków życia, opartych na innych podstawach socjalnych i ekonomicznych, aniżeli dotychczasowe, zmieniają temsamem istniejące formy życia. Zmieniając je, dają też podstawę dla przyjęcia nowej kultury, różnej od dotychczasowej. Nowa treść, idąca z tej kultury, pozwoli na uformowanie nowej rzeczywistości; nasza wyobraźnia pod wpływem tej treści zorganizuje się inaczej, dając możliwość zbudowania nowej sztuki.

Sztuką tą jest nowy realizm. Formalna jednak budowa nowych wartości nie może nastąpić błyskawicznie (zbyt wielkie obciążenie balastem tradycji), dlatego nowy realizm nie ma jeszcze konkretnej formy wyrażania. Chce on wyzyskać wszystkie dotychczasowe zdobycze o tyle, o ile służyć mogą do osiągnięcia celu. Nowy realizm nie chce jednak sobie wyznaczyć rolę woalu, rolę zasłony, przez którą przezierną w taki lub inny sposób deformowana natura. Zadaniem jego wyrazić prawdziwie nowy, powstający świat, gdyż już w nim jest zawarta prawdziwa zdobycz: nowa treść. Dlatego nowy realizm nawiązuje do sił, idących z dół społecznych, do zorganizowanych mas robotników i chłopów, gdyż ta klasa i jej założenia są awangardą nowej kultury (nie zaś salonowo-dancingowa wylegarnia zatrutej atmosfery). I jakkolwiek prawda ta jest dla wielu niemiła, nie da się jej zaprzeczyć i prędzej lub później musi ona zwyciężyć. Zadania, których się podjęli artyści realistyczni, są trudne i wymagają całego człowieka: w pracy tej nie są jednak osamotnieni, jak ich poprzednicy; nie są utopistami, malującymi w najlepszym wypadku dla prowincjonalnego muzeum. W przyszłości, kiedy forma nowego realizmu będzie już wystarczającą i zaraźliwą nowością, kiedy będzie można mówić o własnej fakturze, formie czy kolorze, kiedy już będzie wysokim gatunkiem, zjawi się znowu cała fala artystów, pociągnięta nowinką artystyczną i zacznie ją powtarzać. Ci sami, którzy dziś odwracają głowy od niezrozumiałych dla nich rzeczy, bo pozbawionych wszelkich przysmaków i przysmaczków, na które budowa nowej rzeczy nie pozwala, zmieniając czasem swe przekonania. Dziś jednak malarze realisci, którym przyświeca idea rzeczy nowych, pełni twórczej woli, nie zrażają się niczem. Świadomi swoich celów, oparci o masy, wierzą, że sztuka, którą tworzą, będzie żywa i prawdziwa.

WYSTAWA
MALARSTWA POLSKIEGO
W SZWECJI

Sztuka, będąca językiem międzynarodowym, jest najlepszą formą propagandy kulturalnej kraju i najbardziej istotną płaszczyzną zbliżenia się międzynarodowego. Z tego też względu każda nasza ekspansja artystyczna powinna być powitana radośnie i otoczona należyłą opieką i zainteresowaniem.

Obecna wystawa malarstwa małopolskiego w Szwecji, ciesząca się tam dużym zainteresowaniem, jest właśnie tego rodzaju przedsięwzięciem.

Udział w wystawie biorą Związki Zawodowe Artystów Plastyków ze Lwowa i Krakowa, skupiające w swych ramach ogół młodych i twórczych talentów Małopolski.

Główna zasługa zainicjowania tej wystawy przypaść musi Dr. Zygmuntowi Łakocińskiemu lektorowi języka polskiego przy Uniwersytecie w Lund, historykowi sztuki i subtelnemu znawcy współczesnej plastyki polskiej. Dr. Łakociński pracuje intensywnie na terenie Szwecji nad zbliżeniem i zaznajomieniem tamtejszego społeczeństwa z kulturą i sztuką Polski.

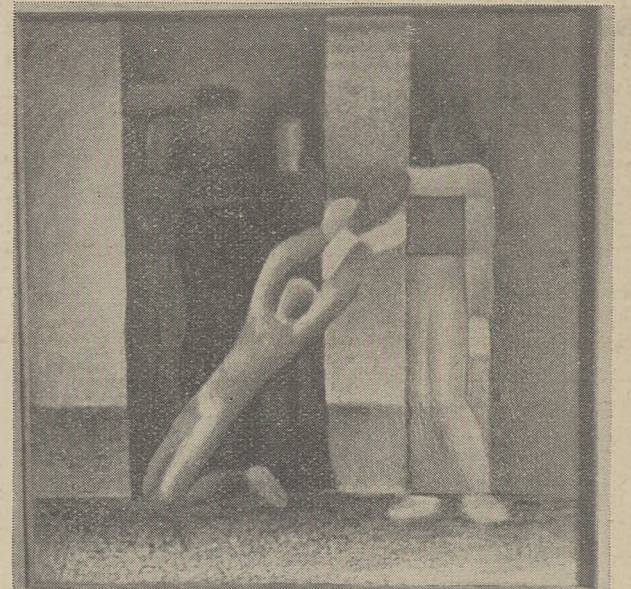
Organizacją wystawy w kraju zajęły się Związki Zawodowe Artystów Plastyków, delegując jako komisarzy wystawy w Krakowie E. Gepperta i we Lwowie W. Marsa.

Zarząd miasta Lwowa w rozumieniu ważności tego przedsięwzięcia otoczył je swoją opieką, umożliwiając za pomocą subwencji wysyłkę eksponatów do Szwecji.

Jury wystawy tworzyli we Lwowie Z. Radnicki, W. Lam, O. Axer i H. Streng. Udział w wystawie wzięli ze Lwowa następujący artyści: W. Breiter, L. Chwistek, O. Hahn, J. Janisch, F. Kleinman, S. Kramarczyk, W. Krzyżanowski, W. Lam, L. Lille, W. Mars, S. Miłkuła, S. Osostowicz, M. Sielska, H. Streng, Z. Radnicki, S. Teisseyre, L. Tyrowicz, T. Wojciechowski, M. Wodzicka.

W Szwecji protektorat nad wystawą objęli konsul generalny G. Holm, konsul S. Kocan i Dr. Z. Łakociński. Wystawa ta ma objechać najważniejsze środowiska artystyczne Szwecji. Pierwszym punktem było Malmö, obecnie wystawa ma zostać wysłana do Sztokholmu, potem do Göteborgu.

Malarstwo polskie jakkolwiek pokazane nie w całej rozpiętości, ale z uwzględnieniem tylko jednej dzielnicy, budzi mimo to ogólne zainteresowanie i uznanie, wyrażające się w szeregu recenzji w poważnych dziennikach szwedzkich.

Z WYSTAWY
STAN. KRAMARCZYKA
W LWOWSKIM ZW. ZAW. ART. PLASTYKÓW

Kompozycja



Ręce



Kwiaty (olej)

H. RUDZKA-CYBISOWA

Henryk Streng

Z WYSTAWY TYTUSA CZYŻEWSKIEGO

Wystawa prac Tytusa Czyżewskiego. W ostatnich dniach kwietnia nastąpiło otwarcie Zbiorowej wystawy prac Tytusa Czyżewskiego w Zawodowym Związku Artystów Plastyków we Lwowie. Tytus Czyżewski, pionier naszych kierunków arty-

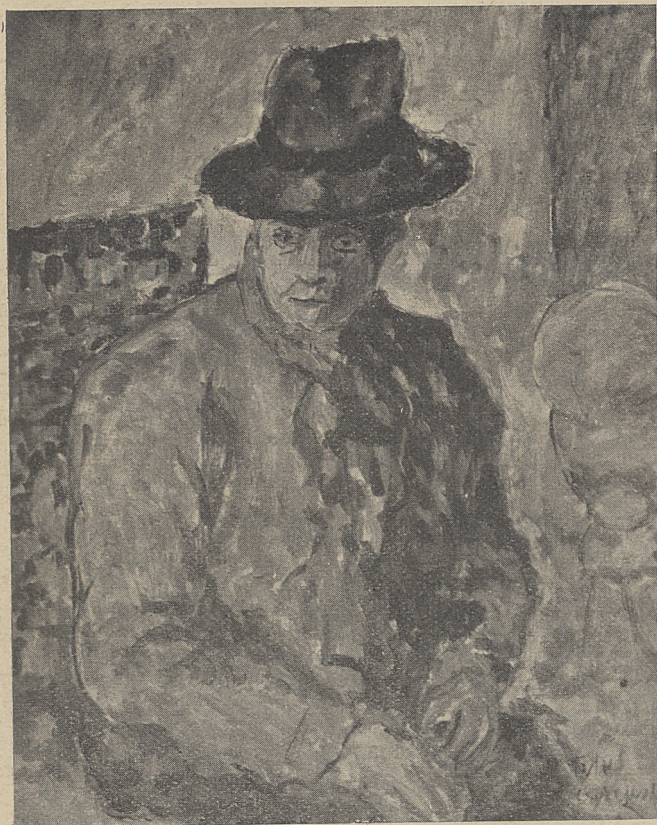
stycznych w sztuce, znany poeta i krytyk, a przede wszystkim malarz, twórca na wielką miarę, o głębokiej kulturze i subtelnym zmyśle koloru, jest jednym z najwybitniejszych współczesnych artystów polskich.



Martwa natura



Portret



Portret



Pejzaż (1934)

Salon Plastyków (druga wystawa I. P. S-u z Warszawy) we Lwowie.

W pierwszych dniach maja nastąpi otwarcie Salonu Plastyków Związków Zaw. Polskich Artystów Plastyków. Salon ten cieszył się przez szereg tygodni w I. P. S-ie w Warszawie

ogromnym zainteresowaniem i niesłabnącą frekwencją. Mamy w nim zgromadzone prace najwybitniejszych współczesnych malarzy polskich, reprezentowane są wszystkie prawie kierunki, od koloryzmu do abstrakcjonizmu. Wielu artystów uzyskało na tym Salonie liczne nagrody państwowe i prace ich będzie

można oglądać obecnie we Lwowie. Wysilek Lwowskiego Zawodowego Związku Art. Plastyków, który z poparciem Zarządu Miasta uzyskał lokal Pałacu Biesiadeckich i podjął się w porozumieniu z I. P. S-em w Warszawie zorganizowania tej wystawy, zasługuje w pełni na uznanie.

KRONIKA FILMOWA

100% koncesji. Sensacyjne wręcz brzmi petycja Rady Narodowej Przemysłu Filmowego, wystosowana do Ministra Spraw Wewnętrznych i wszystkich wojewodów. Idzie w niej o to, by używanie słowa „film”, względnie „kinematograf” w nazwach organizacji uzależnione było od kontroli przemysłowców filmowych. Niewiadomo, jak do sprawy tej ustosunkują się odnośne władze, to jednakowoż oczywiste, że uderza ona w prawo powstawania filmowych zreszeń naukowych i artystycznych-amatorskich.

Sprawa filmu naukowego zainteresowała kinowe sfery Francji. Na czele specjalnie zorganizowanego stowarzyszenia realizatorów stanęli: J. C. Bernard, Jean Benoit Levy i Jean Painleve.

Cenzura w ruchu. „Wiadomości Literackie” Nr. 650 z dnia 26 kwietnia przynoszą artykuł St. Zahorskiej p. t. „Skonfiskowany film”. Idzie tu o film polski, „Droga młodych” Aleksandra Forda, przedstawiający przyjaźń dzieci żydowskich z Warszawy i polskich dzieci robotników z Zagłębia. Urzędowe orzeczenie mówi: „wyświetlanie powyższego filmu mogłoby zagrażać żywotnym interesom Rzeczypospolitej”.

PRZEGLĄD FILMÓW

Róża J. Lejtesa (film polski). Trzeba by zapomnieć, że filmem tym najoczywiściej uderzono w pamięć Stefana Żeromskiego i pofalszowano tekst dramatu o Czarowicu. Bo sam film Lejtesa — widziany — niezależnie od literackiego pierwowzoru — posiada swą kinową wymowę. Coś się w tym polskim filmie dzieje godnego uwagi. Mierzone miarą bezwzględnej wartości, sceny te podpadłyby zapewne ostrej kry-

tyce. W naszych stosunkach stanowią fenomen zastanawiający. Bo poza tym brak filmowi Lejtesa równowagi. Obok paręty doskonałych — są banalne, prawie kiczowate. Obok sceny z improwizacją rewolucjonistki Marji, scena ucieczki Czarowica i Dana przez las. To charakterystyczne.

Sprawa pogwałcenia tekstu Żeromskiego domaga się omówienia w oddzielnym artykule. Zmieniony sens utworu przez odjęcie sprawy z Bożyszczem i sprawy z wynalazkiem Dana, przez „zlikwidowanie” postaci Zagrody i całkowitą zmianę typu Anzelmia i jego udziału w akcji — nie reprezentuje w żadnej, nawet ułamkowej mierze atmosfery i ideologii utworu Żeromskiego. Pikantnie wręcz wobec tego wygląda „konstrukcja zasadnicza strony ideowej filmu”, dokonana nie przez kogo innego, tylko przez — Władysława Pobóg-Malinowskiego. Wystarczy przypomnieć sobie filmową trawestację (jeśli nie — karykaturę) sceny t. zw. improwizacji Czarowica, by uznać beznadziejność takiego nadzoru ideowego. Tak samo rola Krystyny filmowej nie pokrywa się zupełnie z postacią Krystyny z dramatu. Bez Bożyszczka, Zagrody i Krystyny prawdziwej niema prawdziwej „Róży”.

Bezideowa i bezplanowa estetyczność filmowej „Róży” nie daje pełnego zadowolenia, rozgorzycza natomiast bezceremonialnym pogwałceniem tekstu pierwowzornego.

Straszny dwór Leonarda Buczkowskiego (film polski). Założenie realizatora było całkiem pozytywne: z „piły” operowej zrobić kontuszową komedię muzyczną. Udało się to, jeśli idzie o nakreślenie anegdoty i postawienie typów aktorskich. Ale już muzyki podnoszą — i słusznie! — gwałt, że to jest wiązanka pieśni moniuszkowskich, a nie filmowa realizacja opery. A ponad wszystko uderza niechlujstwo w wykończeniu tego utworu kinowego. Prawdziwie pospieszna robota „na kolanie”.

La maternelle Jeana Benoit (film francuski). Tu reklama kinowa ponosi klęskę. Brakuje bowiem w języku propagandy filmowej słów na określenie ciężaru gatunkowego filmu Benoit'a, który — przy swojej wysokowartościowej klasie — jest rewelacją w dorobku kinematografii.

Idiotyczny jest — przyznać trzeba odrazu — tytuł w redakcji polskiej. Owo: „Oskarżam cię, matko!” brzmi jak nagłosny warkot ekspresowy, a z filmem samym niema nic wspólnego. Tytuł prawdziwy jest prosty, jak sam film. Brzmi: „La maternelle”, a znaczy — ochronka.

Treścią filmu jest obraz dni kilku w ochronce przedmiejskiej. Tyle nagromadzonej brzydoty, tyle zakamarków i ciemności w tym młodym społeczeństwie. Mały Fondant nie umie się śmiać, mała Marja rozrywkę otrzymuje tylko w knajpie bułwarowej. Jest smutno, jest źle, choć nikt się nie szarzy, a wszystko idzie swoim torem. Jakby tak być miało zawsze i niezmiennie. Niema tu żadnego buntu społecznego, o krzywdę tych małych „bezprizornych” wielkiego miasta nikt się nie upomni. Jedno tylko zwycięża: oto uśmiech dobroci, rozjaśniający i uświęcający każdą brzydotę. Film Benoit'a nazwać można baśnią o uśmiechu.

Problematyka utworu jest prosta. Zaledwie jedna teza: dziecko do życia potrzebuje miłości. Zaledwie jedno pięć tragiczne: samobójstwo małej Marji. Ale na marginesie tej prostej sprawy, łączącej brzydką wychowawczynię z opuszczonym dzieckiem, czai się mnóstwo spraw, z których każda, odpowiednio rozwinięta, starczyłaby za cały dramat. Czyto miłośna ucieczka matki-prostytutki, czyto para robotnicza, wyganiająca dzieci na schody na czas swego stosunku, czyto stosunki w zarządzie ochronki. Nikogo się tu jednak nie oskarża, film bowiem pełen jest przebaczenia i miłości.

B. W. Lewicki

SPRAWY FILMOWE

BUDOWA UTWORU FILMOWEGO

Zbyt ważnym zjawiskiem w naszej filmologii jest nowa praca teoretyczna Lewickiego^{*)} aby można było ograniczyć się do mniej lub więcej ogólnikowego stwierdzenia jej walorów i podania w zarysie głównych jej wytycznych. Byłoby to jednoznaczne z krzywdzącym autora zignorowaniem „Budowy utworu filmowego”, która jako owoc sumiennych i długoletnich rozmyślań nad filmem przeobraża niemal całkowicie naszą dotychczasową wiedzę o kinie, sprowadzając ją z obrębu mglistych wieloznaczników na płaszczyznę ścisłych i jednoznacznych sformułowań.

Oryginalność koncepcji, zawartej w „Budowie utworu filmowego”, jest dwójakiego rodzaju. Po pierwsze — daje ona nieznaną dotychczas teoretykom kina szczegółowy schemat konstrukcyjny dzieła ekranowego, po drugie — gruntuje po raz pierwszy badania nad filmem na metodzie fenomenologicznej. Lewicki jest skromny, może przesadnie skromny, i sugeruje nam we wstępie do swej pracy, że analityczny pogląd na dzieło sztuki filmowej, zawdzięcza właśnie wyłącznie metodologii husserlowskiej, która umożliwiła mu jakoby to nowe i istotne podejście do kina. Czy ma rację — o tem przekona nas dopiero analiza jego analizy...

O filmie jako dziele sztuki mówi się i pisze u nas bardzo wiele. Intelktualiści, patrzący na film z lekceważeniem i traktujący go conajwyżej jako podrzędną rozrywkę dla mas, należą już do rzadkości. Dzięki pracom badawczym na Zachodzie Europy i u nas, zrozumienie wartości estetycznych kina, uświadomienie sobie jego odrębności i własności artystycznej, staje się coraz powszechniejsze. Jeśli idzie o Polskę, przełomową rolę odegrała w tym kierunku „X Muza” Irzykowskiego, który jeden z pierwszych ujawnił istotę sztuki filmowej, nauczył patrzeć na film i stworzył niejako całą szkołę badaczy polskich, że wymienimy tylko Jalu Kurka, Peipera i Lewickiego. Ale zarówno on, jak i jego następcy, badali wyłącznie sztukę filmową, nie dostrzegając filmu, rozpatrywali mnogość elementów estetycznych, pomijając dzieło całe i gotowe, słowem, podziwiając las, nie zwracali uwagi na drzewa. Owa ogólność teoretyczna, usuwająca spod pracy badawczej twór skończony, sprawia, że w rezultacie nauczyliśmy się mówić bardzo pięknie i uczenie o „filmie jako takim”, o „elementach humoru ekranowego”, o „języku kina”, kinodialektyce i montażu, a stawali się bezradni, gdy przychodziło nam formułować sądy o takim, czy innym filmie wyświetlanym. Konstatowaliśmy wtedy z zażenowaniem, że nie potrafimy nieraz wyjść poza ciasny krąg ogólników czy superlatywów. Że tak było i jest po dziś dzień, o tem świadczy dowodnie, choćby poziom recenzji kinowych. Zasadzają się one naogół na podaniu anegdoty i wymienieniu kilku komplementów pod adresem reżysera oraz aktorów. Nawet tak wybitna znawczyni filmu jak Stefania Zahorska, rzadko podaje sumienne i na naukowych podstawach oparte oceny filmu. Jej recenzje w „Wiadomościach Literackich” to przeważnie tylko bardzo piękne i dowcipne impresje, których kapryśność jest często — irytująca. Oceny Wandy Kalinowskiej w „Kinie” chorują znowu na pewną nieznośną kokieteryjność, typową zresztą dla tego bajecznie kolorowego tygodnika.

W takiej sytuacji nowa praca Lewickiego ma znaczenie przełomowe. Przedmiotem badania staje się w niej utwór filmowy, jako dzieło sztuki, istniejące wyłącznie w chwili wyświetlania. Albowiem „taśma z zapisem obrazowym i dźwiękowym jest tylko dalekim idiogramem estetycznego istnienia filmu”. Podobnie też i scenariusz nie jest identyczny z dziełem filmowym. Dla poznania budowy utworu filmowego autor różnicuje materiał tworzenia kinowego i dochodzi do trafnego wniosku, że „tworzywem filmu artystycznego jest: 1) przedstawienie świata materialnego (normalna kinofotografia), 2) wygląd sam dla siebie (film absolutny), 3) linia, płaszczyzna (film abstrakcyjny), 4) schematyczna fantastyka kresek i cieni (tzw. kreskówki)”. Dalsza analiza wykrywa współistnienie części składowych, jak: obraz i dźwięk, światło i cień, cisza, ruch i spoczynek, co dowodzi, że film nie jest utworem jednorodnym, lecz konstrukcją wielowarstwową. Tym wszystkim, których mogłaby zaniepokoić „warstwa” jako pojęcie statyczne nieodpowiadające dynamice filmu, wyjaśnia trafnie autor, że „warstwowość kina tkwi właśnie w jego ruchliwości i ustawicznym działaniu się”. Dzieło kinowe składa się z trzech warstw, które nawzajem o siebie zająwiają. Są to: „Warstwa elementów ujawnionych (układ plam czarno-białych, względnie barwnych, dźwięk, ruch, rytm, kierunek)”; „warstwa schematyzowanej przedmiotowości przedstawionej” i „warstwa języka kinowego”. Pierwszą warstwę określa Lewicki jako podstawową i konstytuującą. Obejmuje ona elementy światła i cienia, i dalszych par kontrastowych dźwięku i ruchu, których funkcje porównuje autor słusznie z rolą znaków pisarskich w powstawaniu dzieła literackiego. „Ontycznym punktem wyjścia powstającego utworu filmowego jest widmo świetlne i akustyczne. Ono jest powszechnym i jedynym zna-

kiem pisarskim filmu”. Jest to więc jakgdyby pusta jeszcze forma, którą wypełnią treścią dalsze warstwy. Zastanawiając się nad wagą elementów optycznych i akustycznych, Lewicki nie skłania się ku wizualnemu tłumaczeniu kinowości, lecz wysuwa przypuszczenie, że „w rzeczywistości filmowej jest miejsce równe dla obrazu, jak i dźwięku”. Z owego równouprawnienia wyłącza jednak zupełnie słusznie dialog, stwierdzając, iż jest to w budowie filmu element zasadniczo obcy. Uzasadnienie tej obcości jest jednak o tyle tylko trafne, o ile autor widzi je w różnicy czasu, innego dla obrazów kinowych a innego dla słów. Natomiast druga racja, jaką wysuwa Lewicki, a mianowicie, że film mówiony, dzięki kompleksom znaczeniowym, związanym z wypowiedzianymi słowami, podlega innemu uwarstwowieniu, niż schemat wspomniany, nie jest przekonującą. Zakłada bowiem niejako zgóry, że tylko taka a nie inna konstrukcja warstwowa jest właściwa dziełu kinowemu. Należałoby raczej przyjąć, że drugim źródłem odczuwanej przez nas obcości dialogu filmowego jest obawa przed — pleonazmem. Słowo staje się bezcelowym i niepotrzebnym powtórzeniem tego, co przedstawia, względnie co może przedstawić obraz kinowy.

Gdy warstwa pierwsza leżała niejako na peryferiach formalnych filmu, druga wprowadza nas już w obręb treści. Jeśli pierwszą można porównać z brzmieniem wyrazu, to druga spełnia funkcje znaczenia wyrazu. Budowa rzeczywistości filmowej odbywa się drogą schematyzacji. „Na ekranie spostrzegamy schematy ludzi, krajobrazów, nawet cech i uczuć”. Innymi słowy: mnogość życia realnego sprowadza film do wspólnego mianownika, upraszcza i krystalizuje wielość w jedności schematycznej. Tak n. p. fizjognomika aktorska schematyzuje najrozmaitsze stany uczuciowe, wybierając z wielu możliwych wyglądków tylko jeden określony. Istotą artystycznej relacji kinowej upatruje Lewicki nie w fotograficznej reprodukcji rzeczywistości, lecz raczej w deformacji, która nietylko odtwarza, ale także wyraża. W niej to właśnie mieści się niemal bez reszty stylizacja ekranowa, określona przez autora mianem języka kinowego. Wykładnikiem owego „języka” jest montaż, spełniający według plastycznego porównania Lewickiego, rolę okładki, a posługujący się deformacją optyczną i akustyczną, oraz zdjęciami zbliżeniami i asynchronizacją dźwięku. Montaż „nietylko ustala film estetycznie, ale też określa jego atmosferę intelektualną. Decyduje wreszcie o stylu dzieła. Z montażu wyrasta tzw. kinodialektyka z całym bogactwem kinowych środków współwyrastowych i stylistycznych”. Budowa dzieła filmowego jest zamknięta i skończona. Pozostają jeszcze „wartości pozawarstwowe”, tzw. uczucia metafizyczne, które są dostępne bardziej intuicji niż poznaniu rozumowemu.

Swoją zjawiskową teorię kina wywodzi Lewicki z metod fenomenologii, którą ceni tak wysoko, że niejednokrotnie świadomie usuwa się w cień, oddając głos wybitnemu fenomenologowi. Jest to naszym zdaniem mikromanija, z której Lewicki powinien się wyzwolić jak najprędzej. Autor „Budowy utworu filmowego” pragnie nas na każdym kroku przekonać, że bez Husserla i Ingardena nie mógłby dojść w żadnym wypadku do tych wyników, jakie osiągnął w swej analizie. Tymczasem jednak — niechaj daruje nam tę szczerość — gotowi jesteśmy raczej przypuszczać, że całe to uzasadnienie filozoficzne dorobił sobie już ex post do gotowej koncepcji, która naskutek tej przybudówki metafizycznej straciła nieco na jasności i wyrazistości. W roku 1935 ukazała się w druku ciekawa broszura Lewickiego „Młodzież przed ekranem”, w której, bez powoływania się na metodę fenomenologiczną, autor zanalizował wnikliwie widowisko filmowe na przytoczone już powyżej elementy. Było to naturalnie w formie szkicowej, rzucone jakby mimochodem, bez uwzglę-

dzenia konstrukcji warstwowej, wskazuje jednak doświadczenie, że Lewicki miał już swój własny oryginalny pogląd na strukturę estetyczności kinowej, zanim jeszcze doznał olśnienia w postaci husserlowskiej „zasady wszelkich zasad”.

Jeśli idzie o ustalony przez Lewickiego układ warstwowy, to wytknąć mu należy pewne tendencje formalistyczne i statyczność. Wyrazem tego „formizmu” jest uznanie warstwy światłocienia oraz dźwięku i ciszy za podstawową i konstytuującą. W ten sposób autor kładzie szczególny akcent na pierwiastki formalne, przyjmując je, a nie „treść” za punkt wyjścia. Taki układ byłby słuszny wyłącznie dla filmu abstrakcyjnego i absolutnego. Kiedy natomiast mowa o normalnej kinematografice, jest rzeczą jasną, że rola warstw przedstawia się nieco odmiennie. Budowę dzieła należy pojmować genetycznie; wajemny stosunek elementów treści i formy przedstawi się nam wtedy jako schemat procesu twórczego. Dzięki temu utwór nie będzie jedynie oderwanym zjawiskiem estetycznym, lecz pewnym żywym łańcuchem rozwojowym, którego pierwsze ogniwo stanowić będzie atmosfera socjalna, a dopiero ostatnie owa „warstwa elementów ujawnionych”. Wydaje mi się, że dla takiej genetycznej i socjologicznej budowy dzieła filmowego najodpowiedniejszy jest schemat, sformułowany przez Juliusza Kleinerja w jego rozprawie o „treści i formie w poezji” (J. Kleiner, Studja z zakresu literatury i filozofji, Warszawa 1925). W zastosowaniu do filmu i w połączeniu z konstrukcją podaną przez Lewickiego uwarstwowieniu to przedstawiałoby się następująco: 1) Treść istotna czyli „pierwszego rzędu”. Obejmuje ona te zamierzenia ideowe i socjalne, które stanowiły podniecie do stworzenia filmu. 2) Koncepcja utworu filmowego. 3) Struktura (dramat, komedia, groteska, komedia społeczna, dramat „salonowy”, reportaż artystyczny, krótkometrażówka jako „nowela” filmowa). 4) Warstwa elementów ujawnionych i schematyzowanej przedmiotowości. 5) Warstwa języka kinowego. Jeśli weźmiemy dla przykładu „Legjon ulicy” Forda, to stanie się jasne, że tem, co w procesie twórczym było podstawowe i konstytuujące, jest problemat dzieci z t. zw. nizin społecznych, a nie kwestia układu takiego czy innego plam czarno-białych i dźwięków. Dopiero przy realizacji dzieła występuje sprawa języka kinowego i elementów ujawnionych.

Jak więc widzimy, zjawiskowa teoria filmu izoluje świadomie dzieło kinowe od podłoża socjalnego, zajmując stanowisko niemal czysto estetyczne. Jeśli też idzie o wartości estetyczne kina, ujawnia je najwnikliwiej i najsułatniej. Ale dopiero połączona z genetyczną koncepcją dzieła, zdoła objąć je ostatecznie i prawdziwie.

Stanisław Salzman

WYDAWNICTWO

ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
WE LWOWIE, UL. OSSOLIŃSKICH 11, TELEFON 238-59

POLECA: PODRĘCZNIKI SZKOLNE
DZIEŁA NAUKOWE
I BELETRYSTYCZNE

WYDAJE: BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

POSIADA: DWIE WZOROWO URZĄDZONE
DRUKARNIE I INTROLIGATORNIĘ,
KTÓRE WYKONUJĄ WSZELKIE WICH
ZAKRES WCHODZĄCE ROBOTY

MIEJSKA KOMUNALNA KASA OSZCZĘDNOŚCI WE LWOWIE

UL. WAŁOWA L. 7 i 9 (gmachy własne)

ODDZIAŁ I. ul. Gródecka l. 60.

ODDZIAŁ II. ul. Żółkiewska 75.

W konkursie swym ogłaszającym przez radio p. t.:

Dlaczego należy oszczędzać w M. K. K. O. we Lwowie

przyznała I nagrodę za następującą odpowiedź:

OSZCZĘDZAJ!

Bądź przezornym i lokuj oszczędności w M. K. K. O. we Lwowie — gdzie pieniądze Twe zabezpieczone są całym majątkiem miasta Lwowa.

Bądź mądrym — bo oszczędzając w M. K. K. O. we Lwowie pomnażasz bez żadnego wysiłku złożone i procentujące się pieniądze.

Bądź przewidującym — bo grosz oszczędzony daje Ci pewność, że w potrzebie nie będziesz musiał ogłądać się na pomoc innych, a możność każdorazowego ich wycofania w potrzebie daje Ci niezależność.

Bądź czynnym i dobrym obywatelem miasta Lwowa — z którego dobrodziejstw na każdym kroku korzystasz — bo grosz Twój zoszczędzony idzie na ożywienie ruchu gospodarczego naszego miasta i wraca w tej czy innej formie do Twojej kieszeni — Twych najbliższych czy też znajomych.

Buduj przyszłość własną i miasta — oszczędzając w M. K. K. O. we Lwowie!

Wkłádki przyjmuje się codziennie od godz. 8 do 13-tej i od godz. 17 do 19:30

Fundusze rezerwowe Kasy wynoszą Złotych 6,291.639.—

*) Budowa utworu filmowego, Warszawa 1936.

HENDRIK DE MAN

ZAGADNIENIE NARODOWE W SOCJALIZMIE

W ścisłym związku z przesunięciem motywów ruchu socjalistycznego, który z biegiem czasu objawia się jako dążenie do reformizmu, stoi również rozwój socjalizmu w przestrzeni. Socjalistyczny patriotyzm wypiera pierwotny kosmopolityzm socjalistyczny. Od czasu pierwszej międzynarodówki ulega ruch socjalistyczny ciągłemu różniczkowaniu metod i sposobów myślenia, poszczególne narodowe organizacje zdobywają coraz większą duchową autonomię, robotnicy zaś poczynają coraz silniej akcentować te motywy ich światopoglądu, których źródła leżą w przynależności do danej grupy narodowej. Najmocniejsze nasilenie tego stanu widzimy po wybuchu wojny światowej. Zrozumieć to można najlepiej skoro oddzielnie zbadamy zarówno socjalne środowisko, jak i psychologiczne nastawienie poszczególnych jednostek, te dwa czynniki, które warunkują uczuciowy stan klasy robotniczej.

Kapitalizm nie stworzył nigdy organizacji kosmopolitycznej, nawet jeśli się uwzględni tylko czysto gospodarcze interesy.

Zrozumiałem jest jednak, że Marks kładł jeszcze główny nacisk na międzynarodowe tendencje kapitalistycznej gospodarki. Jego sposób myślenia w sprawach ekonomicznych pochodził z tej atmosfery, która stworzyła również jednoczący cały świat optymizm manchesterskiej szkoły. Różnice i przeciwieństwa poszczególnych narodów wydawały się wtedy skutkiem przeżytych, przedkapitalistycznych, dynastycznych urzędzeń i tradycji. Coprawda najbardziej pod względem przemysłowym nowoczesna wówczas Anglja budowała właśnie swe światowe imperjum gospodarcze, tworząc najważniejsze i najbardziej realne tło dla teoretycznych dociekań Marksa. Ówczesny imperjalizm angielski nie obawia się jednak jeszcze innych współzawodników. Stąd jego nastawienie kosmopolityczno-pacyfistyczne, warunkowane przez potrzeby wolnego handlu. Dlatego też i Marks był zajęty wyłącznie apokalipsą światowej rewolucji. Nie przeczuwał natomiast znacznie bliższej apokalipsy wojny światowej. Dopiero z końcem 19. wieku, spowodowanego zagrożenia monopolu angielskiej potęgi przez Niemcy i Amerykę zaczęły się objawiać te cechy imperjalizmu, które nadały potem wojnie światowej jej charakter. Jak wiadomo, było dla marksizmu rzeczą trudną zorientować się w tem nowym obliczu imperjalizmu: jeśli zaś próbowano zdać sobie z tego sprawę, to znowu jednostronne akcentowanie gospodarczych konfliktów między grupami kapitalistów zaciemniało cały obraz. Przeoczo najzupełniej polityczne, kulturalne i psychologiczne skutki nacjonalizmu i jego wpływ na nastroje mas robotniczych. Nie rozumiano przedewszystkiem — a jeśli domyślano się tego, to uważano pilnie, aby tego nie powiedzieć — że konflikty gospodarcze narodów, istniejące w tym okresie imperjalizmu dotyczą także i istniejące dla klasy robotniczej poszczególnych państw. W miarę bowiem, jak proletarijat poprzez związki zawodowe i akcję polityczną zyskuje wpływ na kształtowanie swych warunków życia i pracy, przestają jego interesy gospodarcze obracać się tylko w ramach walki z przedsiębiorcami. Obok międzynarodowych przeciwieństw między robotnikami a przedsiębiorcami występuje pewna wspólność interesów między poszczególnymi grupami robotników a przedsiębiorców a nawet między całymi klasami proletariatu i kapitalistów organizatorów.

Każdy zaś z tych związków poszczególnych grup i klas w poszczególnych państwach wprowadza interesy klasy robotniczej jednego państwa w konflikt z dobrem klasy robotniczej innych krajów.

* * *

Badacz, który w pracy swej nie daje się krępować żadnymi bezpośrednimi względami partyjnymi, musi mieć prawo mówić otwarcie o tem, co uważa za prawdę.

Przywódca zaś partyjny również tylko wtedy może sprostać zadaniom dnia, jeśli widzi je pod kątem większych i wyższych zadań dłuższego okresu czasu. Musi się dlatego zrozumieć prawdziwą istotę tych przeszkód, które stoją na drodze socjalistycznego internacjonalizmu. Byłyby one o połowę mniejsze, gdyby polegały tylko na różnicy interesów. Wielka trudność występuje wtedy, kiedy się z pewnego niezaprzecznego zrozumienia ponadnarodowych wzajemnych interesów chce stworzyć legendę międzynarodowej, świadomej politycznej woli. Ekonomista łatwo może udowodnić, że interesy klasy robotniczej mają charakter raczej międzynarodowy niż państwowy, lecz równie łatwo jest przeprowadzić ten

sam dowód w każdej innej klasie społecznej, nie wyłączając kapitalistów. Któż bowiem klasa nie miałaby w tem gospodarczych korzyści, jeśliby np. Europa stanowiła podobną polityczną całość jak Stany Zjednoczone Ameryki. Lecz cóż, kiedy wola mas — klas wykształconych tak samo jak innych — nie jest warunkowana tylko względami ekonomicznymi, lecz namiętnościami znacznie głębszemi, które warunkują również pojmowanie interesu poszczególnych klas. Międzynarodowy charakter proletariackich wzajemnych stosunków nie ulega z punktu widzenia ekonomicznego myślenia najmniejszej wątpliwości. Lecz człowiek jest nie tylko maszyną do rozwiązywania ekonomicznych przykładow. Czy w roku 1914-yim wierzył choćby jeden człowiek, że wojna przyniesie jakąś gospodarczą korzyść światu lub jakiegokolwiek socjalnej klasie? A mimoto właśnie ci, którzy nie mieli zupełnie żadnej nadziei, rzucili się w wojnę z największym zapałem i prowadzili ją przez cztery i pół roku. Dotyczyło to tak samo robotników. Ich międzynarodowa solidarność o tyle tylko wpływa na politykę, o ile stwarza politycznie uświadomione dążenie.

Tu mamy właśnie decydujący powód, dlaczego w dalszym porządku społecznym przeważają jeszcze ciągle siły dzielące świat. Nacjonalizm działa na ruch robotniczy, w sposób który czyni międzynarodowość interesu proletariackiego czynnikiem podrzędnym. Decydującym czynnikiem od r. 1914. jest uczucie narodowej przynależności, które polega na przemożnym doświadczeniu rzeczywistych grupowych związków.

Właściwością tego uczucia przynależności narodowej, rosnącego stopniowo od ostatniego pokolenia, jest to, że nie jest ono pozostałością z okresu nieświadomości klasowego, lecz jest właśnie wynikiem politycznego i kulturalnego rozwoju.

O proletariacie z r. 1848, mógł manifest komunistyczny powiedzieć z słuszością, że nie ma on ojczyzny, gdyż w rzeczywistości prócz kajdan nie było nic do stracenia. Klasa robotnicza nie miała prawa głosowania, nie miała prawa organizowania związków, żadnej możliwości wpływania na warunki swej pracy. Znajdowała się tak blisko granicy analfabetyzmu, że udział jej w wspólności kulturalnej był również niewielki jak ongiś udział barbarzyńców. Dziś zaś cała klasa robotnicza jest zorganizowana w związkach. Zdobyto wszędzie prawo głosowania, przymus szkolny jest przeprowadzony, przeprowadzona ochrona pracy i ubezpieczenia. Niema prawie ani jednego kraju ani miasta w Europie, gdzieby zorganizowana klasa robotnicza nie brała udziału w rządach. Robotnicy nie są już dziś wygnańcami z tego kręgu kultury, do którego wstąpi sami sobie wywalczyli. Ojczyzna przedstawia dziś pewne wartości do stracenia. Dzięki znaczeniu, jakie w demokracjach posiada większa liczba wyborców, zyskali udział w rządzeniu państwem. Utrwalenie zaś ich wpływów na państwo, staje się jednoznacznie dla nich z utrwaleniem państwa w ogóle. Klasy panujące gospodarczo, tracąc swój wyłączny niegdyś wpływ na państwo, zaczynają je powoli sabotować. Finansowa zależność państwa od prywatnych instytucji kredytowych, od nastrojów giełdowych, od płacenia podatków klas posiadających, rosnąca potęga koncernów, zależność prasy i partii od środków finansowych, przynależność kastowa i klasowa wyższych urzędników, oficerów i sędziów — wszystko to są środki tworzenia państwa w Państwie i podkopywania rządów parlamentarnych. W przeciwieństwie zaś klasa robotnicza czuje się w obowiązkach wyęczenia wszystkich swych sił, by państwo nie stało się pustym, czczym dźwiękiem. W wszystkich krajach Europy socjaliści są partją państwową. Im bardziej zaś so-

cializm staje się wyrazicielem idei państwowej, tem bardziej staje się również wyrazicielem idei narodowej, która się w państwie przejawia.

Najbardziej obrazowo występuje rozwój ten, gdy porównamy władze naczelne pierwszej i drugiej międzynarodówki. Naczelna rada pierwszej składała się przegłównie z międzynarodowej cyganerii politycznych wygnańców; w pięćdziesiąt lat później, w prezydium drugiej międzynarodówki, zorganizowanej w pierwszych latach po wielkiej wojnie, nie było nikogo, kto by nie był byłym, przyszłym lub obecnym ministrem swego kraju. (Współzawodniczą trzecią międzynarodówką jest w praktyce obecnie tylko oddziałem propagandowym rządu rosyjskiego). Ale w innym jeszcze znaczeniu, znacznie głębszym, przybiera walka klasy robotniczej coraz bardziej narodowy charakter.

Wywołany jest on walką o światopogląd ideowy, a przedewszystkiem o zapatrywanie na pojęcie prawa. Widoczne to jest w polityce zupełnie dokładnie. Na polu zaś walki gospodarczej jest rzeczą sprawdzoną, że grupy o nawzajem się zwalczających interesach powodują się odmiennymi poglądami na stosunki prawne. Poglądy zaś te są historycznym wynikiem przeszłości, która u wszystkich narodów kulturalnych jest od paru set lat przeszłością narodową. Walka o ideę jest zatem prowadzona w języku, który łączy grupę narodową. Język ojczysty zaś jest czemś więcej, niż językiem rodziców; kształtuje on bowiem i tworzy całą naszą duchową istotę. Nie jest to tylko techniczne narzędzie wyrazu danej treści kulturalnej, lecz sama treść kulturalna jest przez mowę uwarunkowana, a w dużej nawet mierze stworzona. Kto poznaje nowy język, uczy się nie tylko nowych słów, lecz uczy się odczuwać i myśleć tak jak ci, co mówią tym językiem teraz i w przeszłości. Wspólne kulturalne dziedzictwo, które język ojczysty rozszerza, łączy wszystkich tych, którzy nim mówią. Związki zaś te są tem silniejsze, im szersze są koła, którym zdołano udostępnić narodowy dobytek kulturalny, zawarty w reakcjach uczuciowych, w doświadczeniach, obyczajach, w sposobie myślenia.

Nawet i te czynniki kultury, które są pochodzenia obcego — jak np. twórczość klasyczna, katolicyzm średniowieczny, literatura światowa — dochodzą do nas tylko w zabarwieniu narodowym, które nadaje im zarówno mowa ojczysta, jak i asymilująca kultura danej grupy. Nawet wartości duchowe, stworzone przez myśliciela międzynarodowego jak Marks, odczuwa niemiecki robotnik jako część niemieckiego kompleksu kulturalnego. Dla życia duchowego niemieckiej socjalnej demokracji miały staroniemieckie tradycje demokratyczne, wojna chłopska, reformacja Lutera, niemiecka literatura klasyczna, niemiecka filozofja i pojęcie państwa, los Niemców w wojnie światowej — znaczenie zupełnie inne, niż dla socjalistycznej partji jakiegoś państwa bałkańskiego, której program jest może nawet dosłownym przekładem erfurckiego lub heidelberskiego programu.

Historyczna bowiem wspólność losu niemieckiego narodu warunkuje kulturalne środowisko, w którym żyje niemiecka socjalna demokracja i którego sama jest objawem. Każde niemieckie słowo, które socjalna demokracja kieruje do swoich zwolenników, łączy ich nie tylko z międzynarodową treścią marksizmu, lecz z całym doświadczeniem niemieckiej kultury narodowej. Jeśli samo słowo socjalizm ma dla niemieckiego robotnika inne znaczenie, niż dla obcokrajowca, to w dużej mierze dlatego, że używali go przed nim niemieccy myśliciele, wiążąc to nowe pojęcie z niemieckim światem ducha.

Im bardziej masy chłoną w siebie kulturę swoich grup narodowych, tem silniej występują ich cechy odrębne. Każde z tych zjawisk, które wciągają klasę robotniczą w krąg wpływów kultury panującej, jak szkolnictwo powszechne, równouprawnienie polityczne, prasa — jest uwarunkowane narodowo, nosi znak kulturalnej odrębności i przenosi ją na masy, które żyją w tem środowisku.

Wielu spośród socjalistów stara się osłabić ten fakt, twierdząc, że przekroczone właściwie już stadium rosnących odrębności narodowo kulturalnych i że rozwój gospodarki światowej i łatwość komunikacji stworzą uniwersalną kulturę światową, która z czasem zastąpi kultury narodowe. Twierdzenie to zawiera w sobie tyle

ALEKSANDER BAUMGARTEN

Rzecz o Krzysztofie Kolumbie

(Fragment poematu)

Malańki był port Palos, jak Twe imię — Kolon.

Dzień wstawał Aragonem a Kastylją mijal,

Włóczyły się Twe oczy serdeczną niewolą,

U burt karawel: „Nina“ i „Santa Maria“.

Aż pod niebo wybuchnął biały okrzyk żagli,

Zadudnił pod nogami wysmolony pokład —

Jeszcze was wiatr nie witał z meksykańskich bagnisk, —

Jeszcze wam kieszek z gardła febra nie wywlokła.

Atlantyk westchnął ciężko, gdy brał Cię w ramiona,

Gdy ostatnia Europa za rufą zagasła! —

Nijako było mówić: „Pod Twoją Obroną...“

Pijakom tarragońskim — łotrom z San Sebastian.

Gdy fale, jak łyż słońce, ład wymyły z oczu,

(Ciężko stać się uboższym o całą ojczyznę)

Żal wasz przeklęte fale, jak burtę przeskoczył,

Kiedy knebel tęsknoty w gardle puchł i cisnął.

Dni nadchodziły dziobem, odchodziły rufą,

Rdzewiały toledońskie klingi caballeros —

Tylko Twych oczu czarne, niemigotne lufy

Przed zbuntowanym tłumem, jak pułk muszkieterów...
A noce... Admirale białych płam na mapie?

Noce pełne nablisków i godzin sobaczych

Przez łuki ziemniak księżyc, jak zamróż w pułapie

Potem tajał w łzach oczom, w ognistej rozpacz.

A czasem pięściom było ciasno z kordelasem.

I zawiłki był sztandar — kapitańskiej koi,

Wtedy ostatnie światła na nadburciach gasły —

Karawela szła w ciemność na kurs: nieukoje...
ZOFJA CZERNY

PRYZRĄDZANIE POTRAW

Stron wzgl. kart 495—LI.

Forma książki, oprawiona w płótno zł. 24—

Forma kartoteki w teście zł. 18—

Zawiera 702 przepisy i 83 wzory organizacji i pracy dla przyrządzania potraw z każdej grupy technicznej przepisów. Książka ta została opracowana z zastosowaniem nowoczesnych wymagań pod względem higienicznym, racjonalnej organizacji pracy i formy zewnętrznej. Z punktu widzenia higienicznego zastosowano tylko taką technikę wykonania, która uwzględnia pełną wartość odżywczą przyrządzanych pokarmów, tj. ich wartość białkową, witaminową i mineralną.

Nakład

S. A. KSIĄŻNICA - ATLAS

Lwów, Czarnieckiego 12

Warszawa 1, Nowy Świat 59

NOWOCZESNA EMALJA

NEODUR

Najprzedniejszy

lakier krajowy

o wszechstronnem

zastosowaniu

NEODUR

NOWOCZESNA EMALJA

prawdy, że musimy się przy nim zatrzymać na chwilę, by udowodnić, że jest fałszywe. Fałszywość ta polega na pomieszaniu, zupełnie u marksistów zrozumiałem, treści kulturalnej z techniczną dyspozycją do kultury. Wszystkie zdaje się zmierzać do tego, że kiedyś będziemy mieli uniwersalną kulturę światową. Tę wiarę usprawiedliwia olbrzymi rozwój gospodarki światowej i środków transportowych. Forpoczątki tej kultury spotykamy już teraz; jednym z najważniejszych jest międzynarodowy socjalizm. Lecz jedna jaskółka nie robi jeszcze wiosny. Pytanie nasze brzmi: Czy nie musimy przeżyć jeszcze zimy — a nie — kiedy przyjdzie wiosna. Innymi słowy: czy nie znajdujemy się jeszcze w stadium rosnącego różniczkowania mas, poprzedzającego zwycięstwo tendencji jednoczących.

Środki transportu i wspólność interesów są koniecznym warunkiem dla kultury, lecz nie są jeszcze kulturą samą. Długo może potrwać, zanim one wytworzą treść kulturalną. W międzyczasie zaś może nastąpić wyraźniejsze zróżniczkowanie, trwające nawet całe stulecia, podczas których materialne warunki spełniają tylko swą rolę przygotowawczą do późniejszego połączenia.

* * *

Dziś już mamy wiele duchowych dziedzin, które mogą być zaliczone do kręgu kosmopolitycznej kultury, dzięki temu, że ich środki wyrazu nie ograniczają się do mowy ludzkiej. Sztuki t. zw. symboliczne, jak muzyka instrumentalna, architektura, plastyka są już dziś najważniejszym pomostem do nowej kultury. Najważniejszym jednak z punktu widzenia rozwoju socjalnego jest pytanie, czy ta nowa powstająca kultura może być dla dzisiejszego poziomu mas rozstrzygającą. Nie należy bowiem zapominać, że kultura potrzebna do zrozumienia symbolicznych form artystycznych ma tylko dla niewielkiej mniejszości znaczenie kształtujące życie. Wszędzie też spotykamy już dziś inteligentów o silnie kosmopolitycznych cechach kulturalnych. Liczba tych obywateli całego świata jest jeszcze bardzo mała, ale zwiększa się stale. Jest jednak rzeczą bardzo charakterystyczną, że o tyle tylko można torować drogę tej nowej powszechnej kulturze, o ile ten kosmopolityzm, a raczej internacjonalizm tkwi w istniejących dziś wartościach kulturalnych narodowych. „Dobry Europejczyk“ musi dziś znać parę języków, aby przyswoić sobie wartości kulturalne wielkich dziedzin językowych. Tylko bowiem w ten sposób można się stać międzynarodowym a raczej ponadnarodowym, że się jest związanym z większą ilością kulturalnych kompleksów narodowych.

Wykorzenienie pierwiastków narodowych nie prowadzi do kultury światowej, lecz do pozbycia się kultury wogóle. Jedyny stan kulturalny, niezależny od elementów narodowych to nastawienie tych zanadto bogatych, beczynnych i zblazowanych „weltbunlekwow“, bo wszędzie nudzą się w ten sam sposób, w luksusowych hotelach, na placach sportowych, na pokładach wielkich okrętów. Tę dekadencją stroną kosmopolityzmu nazwał ongiś Picard „kelneryzmem“, ponieważ usłużny, wyfraczony, mówiący wielu językami garson jest reprezentantem i socjalną podporą tej kultury. Oczywiście, że taki kosmopolityzm nie ma żadnej wartości, ponieważ odnosi się do drobnego i wąskiego, mimo swej pozornej rozciągłości, skrawka świata, który nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek kulturą.

Możność przenoszenia się z miejsca na miejsce nie tworzy jeszcze obywateli świata. Zanim zaś jedność całego świata będzie urzeczywistniona, muszą być ludzie, którzy naprawdę tego pragną. Istnienie Niemców nie jest skutkiem powstania państwa niemieckiego, lecz przyczyną. Niezależna Ameryka, połączona Italja, samodzielną Polską powstały dopiero wtedy, kiedy było dość Amerykanów, Włochów, Polaków, którzy pragnęli tego. Aby powstała nowa Europa muszą być nowi Europejczycy. Łączność całego świata musi być odczuta i rozumiana, uniwersalna kultura musi wprawdzie stworzyć „obywateli całego świata“, aby ich subiektywna wola mogła stworzyć realną, światową organizację.

Kultura zaś światowa jest czemś więcej niż nieorganicznym zestawieniem, nagromadzeniem; jest to mowa i formą wyrażona harmonijna budowa emocjonalnych wartościowań, posiadających znaczenie dla całego świata.

Rzeczy zaś tkwiące tak głęboko w duszach ludzkich mogą rozszerzać się tylko od wewnątrz na zewnątrz, zdoła dogóry; nie mogą być nigdy narzucone.

* * *

Każda sytuacja, która wiąże ściślej losy mas robotniczych z losami całego narodu, każda sytuacja, która je wciąga w krąg kulturalnego narodowego dorobku wzmacnia w sposób nieunikniony, narodowy charakter tych mas.

Rozdział z książki H. de Mana „Zur Psychologie des Sozialismus“, 1927,

przełożyła ST. BLUMENFELDOWA

Prenumerujcie

„SYGNAŁY“

WOLNA TRYBUNA

TROCHE IZOMETRIJI

W MIEJSCE „PERSPEKTYW“ POETYCKICH*)

Literatura powinna być domeną samodzielnego, twórczego myślenia; pisarze, którzy w publicystyce literackiej apelują do instynktu stadnego innych pisarzy lub czytelników — odbiorców, podkopują temsamem wiarę w wartość swoich przemyśleń, popieranych zwyczaj przykładami z innych dyscyplin naukowych. Nigdy na kartach teorii literackich nie roilo się od tyłu terminów z dziedziny ekonomii i wprost dialektyki marxistowskiej, co w poetyce tzw. „awangardy“. Może to zbieg okoliczności, zbieżność dwu prądów, dwu sympatyj w umysłach młodych i niekiedy trochę parweniuszowskich teoretyków nowego objawienia artystycznego, a może zwykłe lokowanie się pod wygrzanym bokiem starszego od siebie kolegi, który jeszcze niejedno będzie miał do powiedzenia w historii ludzkości?

J. Putrament nawymyślał w swoim artykule całej prawie współczesnej literaturze polskiej w imię rezultatów twórczych niewielkiej grupy dość ekscentrycznych poetów, przydłużając swe pokwitanie umysłowe czasem poza trzydziestkę i zdziwionych tem, że brak im słuchaczy w szerokich kręgach publiczności. Nie mam zamiaru oceniać ich pracy ani dodatnio ani ujemnie, stwierdzam tylko ich wyjątkowość. Niech nie podejrzewają mafji w takim układzie rzeczy, w którym przychodzi im samotnie pracować w „laboratorjach“ poetyckich, ani niech sobie nie wyobrażają siebie w roli zapoznanych uczonych. Nauka może nie dbać o audytorjum, literatura — musi. Obawiam się, że już wiele z trudu eksperymentalnego tych ludzi przepadło praktycznie dla dorobku pisarskiego naszych czasów. Temwięcej, że odkrywczność ich poznania zaznacza się przedewszystkiem w fakturze utworów. Faktura — to szkoła patrzenia na życie przez figurę wypowiedzi. Figura zlekceważona czy niezauważona nigdy nie bywa odkryta po raz wtóry. Odkrywa się po latach tylko treści, z trudem oczyszczane ze staromodnej tzw. formy. Określenie oczywiście nieprecyzyjne, niema treści literackiej któraby nie była już tylko formą, po spisaniu jej, chodzi więc tu jakby o przejęcie w locie twórczej intencji pisarza, spetryfikowanej w takim układzie, w jakim do dyspozycji mu go dała jego epoka i środowisko i ta szczypta indywidualności, którą różnił się od otoczenia. Putrament zawczasie wzywa sąd historii dla rozstrzygnięcia sporu między „skamandrytami“ a „awangardą“. W imię obiektywnych kryteriów wolno mu stwierdzić odmienną wysiłków u obu tych kierunków poetyckich, nigdy wyższość jednego nad drugim, zwłaszcza w proporcji odwrotnej do oczywistego dorobku „konkurentów“.

Obraz współczesnej literatury wymalował J. Putrament zielenią jadowitą, tyle żółci przymieszał do każdej farby, a już w momentach grozy wznosił się do tonu aprilisowego żartu „Nowych Wiadomości Literackich“. Robienie z red. Grydzewskiego jakiegoś literackiego Kruppa, który świadomie opóźnia zrozumienie przez szeroką publiczność nowej poezji, tak jakby podsuwał mōnarsze rozkaz mobilizacji, jest oczywiście naiwniactwem w formie krystalicznie czystej. Red. Grydzewski kieruje się w ocenie manuskryptów swoim własnym smakiem artystycznym, nie obliczonym na żadną kampanję, conajwyżej — jeśli idzie o poezję — poradzi się Tuwima, to wszystko. Natomiast publicystyka awangardowa posługuje się niemal kartoteką policyjną, w żadnym mo-

*) Odpowiedź na artykuł Jerzego Putramenta „Perspektywy poetyckie“, w nr. 16 „Sygnałów“.

ment nie zaniedba sprawdzić czy ich adept albo przeciwnik nie zachował się tak a tak w świętej wojnie o nową poetykę. Tylko, co najgorsze, ludzie z ich strony dają się obłaskawiać i to zarówno jeśli idzie o stronę ideową (casus Łobodowski), jak i formalną (Miłosz, Zagórski). Z owymi apostatami postępuje się w sposób taktycznie wyrafinowany, przepływa się przez ich nazwiska jak przez powietrze; nigdy ich nie było. Tak właśnie czyni autor artykułu o „perspektywach poetyckich“. Jego lista awangardystów jest dokumentem humorystycznym przez finazyjny dobór nazwisk, całkowicie nie odpowiadający „historycznemu“ rozwojowi tej idei poetyckiej, jeśli już mamy poważnie traktować spór o jakość między stroną atakującą i atakowaną. Putrament wynienia jednym tchem Przybosa, Czechowicza, Sebyłę. Z tych trzech tylko pierwszy jest na swoim miejscu, ale dlaczego bez swego teoretyka Peipera? Czechowicz jest rzetelnym poetą, ale jego przynależność do awangardy możnaby kwestjonować, przyczem pasowanie go przy sposobności na Norwida naszych czasów jest absolutnym brakiem poczucia proporcji. Sebyła nigdy się do szkoły krakowskiej nie przynależał, jako członek b. grupy „Kwadrugi“, a więc „Skamandra“ z drugiej ręki, przy każdej sposobności atakuje i surowo ocenia dorobek awangardy. To ma być rachunek sumienia? A gdzie kol. Miłosz, czy przestał istnieć przez to, że wydrukował kilka wierszy w „Skamandrze“, że swój wysiłek nad nowoczesnością wiersza skupił na jego akcentach przedstawionych, zamiast się bawić w szopki z wersyfikacją. A gdzie inni, „zdrajcy“, którzy dali skuśnić się potężnemu „Grydzowi“? Naprawdę, taka „perspektywa“ wygląda na mocno skrzywioną, przydałoby się w jej miejsce trochę izometriji, tj. zasad, według których „wie się“, jak przedmiot opisywany wygląda, nie zaś „widzi się“ go z bardzo osobistego punktu widzenia.

To już się przyjęło, że młodzi adepci sztuki poetyckiej idą jak w dym do awangardowej kuchni po menaż, tam ich przyjmą, chodzi przecie o stworzenie najlicniejszej kadry. Przy sposobności wypyskują się trochę na mieszczańską publiczność, powieją trochę proletariacką onucą pod burżuazyjne estetyzujące noski; przyjemnie jest poczuć się w szeregu. Po dwu latach, jeśli im zdarzy się zaplątać w polemikę, pozostają krwawymi dobozami nowego porządku społecznego i poetyckiego, jeśli — nie, czekają na propozycję z tamtej strony. Kiedy nie nadchodzi, są trochę zdziwieni, nawet gotowi jej pomóc, rozesać parę wierszyków do „Gazety Polskiej“ i „Wiadomości“. Od tego, która redakcja prędzej wydrukuje ich utwory, zależy postawa życiowa na przyszłość. Jeśli „Gazeta Polska“ — będą państwowcami, jeśli „Wiadomości“ — liberałami. Tymczasem w macierzystym łonie partii poetyckiej popsoczy się jeszcze na zagarnianie rynku przez poetyckich kalkulantów, schlebiających gustom kapitału. Na kapitałby się od biedy przeszło, ale... państwowy. Przechodzi się; z takimi do „Pionu“, prawie prosto z ławy poetyckiej jakichś „Esiaków“ do organu oficjalnego. Awans. Co z takimi? Niby metaforki zostały, a dusza faszystowska, chęć? I tak dalej i dalej robi się tę politykę. Nudno.

A teraz jeszcze parę słów poważnie. Putrament ciężkie i niebaczne argumenty wysunął przeciw niektórym pisarzom „ubiegłego dziesięciolecia“, jak sam się wyraża, argumenty — których niesprawiedliwość wyjdzie jaskrawo na światło dzienne dopiero po jakich dwudziestu latach, kiedy ze skamandrytów odpadnie urok wojującej kiedyś, a dziś zwycięskiej szkoły poetyckiej, a pozostanie prawdziwa, nieprzemijająca wartość. Dotyczy to przedewszystkiem ich czołowego pisarza Tuwima, któremu zarzuca się naskórkowość przeżyć, „niskie“ normy poetyckie itp. Niedostrzeżenie ewolucji pisarskiej u tego człowieka, aż do jego myślicielskiej postawy w ostatniej fazie twórczości — to już sporo złej woli.

Osobiście pozostaję zdala od środowiska, w którym chciałby się ujrzeć. J. Putrament, we Lwowie niema go w czystej formie, choć w niejednym chwycie lwowskich poetów możnaby poznać recepturę krakowską. Nielada niespodzianką też bywa dla mnie wyskok polemiczny tego lub innego przedstawiciela kolonji genjuszów, rozsiąanych po całej Polsce i rozpalających od czasu do czasu wici na znak ostatecznego załatwienia się z przeciwnikiem. Nigdy nic z tego nie wychodzi. Ale może w ten sposób właśnie przygotowuje się konjunkturę? Znam lepsze metody: pisać tak, żeby chwyciło, nie zaś grozić pisaniem. Pozatem ortodoksyjny bagaż awangardowy, z jej wysiłkami, karnościami, dosiadaniami metafory przez metaforę, przypomina mi wiejskiego młynarza, który na niedzielę wkłada trzy zegarki do kamizelki. Jeśli oczywiście ma trzy. Awangarda ma nawet więcej i każdy wskazuje inną godzinę... poezji.

Marjan Promiński

„SYGNAŁY“

należy czytać
prenumerować
rozpowszechnić

CHOROBY SKÓRY

są przyczyną tworzenia się łupieżu, łysienia starczego, łysienia przedwczesnego, łysienia martwicowego, łuszczycy wyłysiającej, łamliwości włosów i wielu innych przykrych następstw dla zdrowia i estetycznego wyglądu.

OLEUM PETRAE „GLIMAR“ zapobiega występowaniu wszelkich chorób włosowych

OLEUM PETRAE „GLIMAR“ nafta absolutnie bezwonna, s z y b k o s c h n a c a

nie drażni skóry, jest wysoce dezynfekcyjna, wzmacnia obieg krwi w skórze głowy, usuwa wszelki brud i nieczystości, czyni skórę miękką a włos elastycznym, nadaje włosom właściwy naturalny połysk, pozostawia we włosach subtelną woń.

Żądać w aptekach, drogerjach i perfumerjach

WYTWÓRCA: „GLIMAR“

LWÓW, UL. BATOREGO 26

POETA NAGRODZONY

Zaszczynie wyróżniony niedawno, trzeci skolei tom Swiatopelka Karpińskiego*) posiada tytuł niewiele znaczący, całkowicie przygodny i, cownie, mylny: wistocie bowiem w istocie jest szesnaście. Chyba, że młody autor, powodowany wiarą w fatalne znaczenie cyfr, szczególnie upodobał sobie trzy nastkę. Ta w samej rzeczy go nie zawiodła i na loterii szczęścia okazała się numerem wielkiej wygranej.

Karpiński, niezwykle zdolny literat, lecz, pomimo sankcji oficjalnej, wistocie swej nie poeta, nie przestaje z zadziwiającą zręcznością łowić chwili, przystosowywać się do niej pasywnie i w gruncie rzeczy nonszalancko. Znamionuje go blahy amoralizm, cyniczny smutek, niewielkie stawki ryzykującego gracza. Poezja wydaje mu się wyłącznie zespołem chwytów stylistycznych, efekciarską kaligrafią, oszałamiającym udawaniem, iż tańczy się na linie ponad wyimaginowaną przepaścią, by skończyć tembardziej powabnym i niewymuszonym ukłonem. Pomawiano go o werbalizm; jest to raczej elokwencyja przesadna kogoś, kto, jak dotychczas, niewiele ma do powiedzenia. Zdania jego są rytmiczne, umiejętnie zestawione, dźwięczące pusto i ładnie, — zdania udrapowane. Nikt w latach powojennych nie używał u nas stylu równie wyśrubowanego i konwencjonalnego. Poezja bowiem dla Karpińskiego jest to prowokacyjna nieco zabawa salonowa lub, w najlepszym razie, zabawa w ciuciubabkę z czytelnikiem. Wspaniale szalierstwo nawskróś spirytualistycznej twórczości Galczyńskiego góruje nad tem niebotycznie, na tyle, na ile ironiczna samowiedza góruje nad dziecinną zalotnością. Trudno pojąć, iż krytyk tak inteligentny, jak Bolesław Miciński („Prosto z Mostu“) nie odróżnił lisów prawdziwych od farbowanych.

Falszywy patos Karpińskiego raz po raz zerka ku publiczności. Słowa potrafi on conajwyżej stylizować, czyli przebierać. Efektowna, niekiedy o pozorach wielkości, dekoracyjność, pomysłowość ornamentacyjna naprawdę niepospolita spala się w pustce, w chłodnych blaskach wyrachowanej teatralizacji. Autor ciągle reżyseruje spektakl. Martwe kukielki drygają żałośnie i groteskowo w zbyt biegłych palcach. Niema w tem kropli litości, zwyczajnego ludzkiego współczucia, które tak często stanowi o narodzinach uniesienia lirycznego. Świat Karpińskiego jest trupi, jest to bowiem świat łatwego i szyderczego persyflaży. Stąd jego bezsilna melancholijność.

Maskarada ta posiada pewien wdzięk irracjonalny (choćby II strofa „Sonetu o nicości“, który nota bene żadnym, choćby najbardziej dowolnym, sonetem nie jest). Widowisko wstępnego wierszy tych, ich półkiczowa, półbarokowa kolorystyka, sięga niekiedy jakiegoś dekadentckiego klasycyzmu. Lecz wszystkie strofy tego umiejętnego wersyfikatora są wyjątkowo kulturalne, ugotowane w tyglu sprytu, który ma za zadanie stępić intelekt; feerja pozostaje papierowa, gdyż brak jej sensualizmu. W jakimkolwiek z kontekstów bowiem „błyskawice“ nie mogą „pachnąć“. To są szczydła z epoki symbolizmu. Pewna magia skądinąd, datująca z owej epoki, nie da się zaprzeczyć. Lecz czemu nie wierzymy tej katelepsji? Czemu podejrzewamy ją o reżysera? Sztuka dla Karpińskiego jest sztuką prestigitatora, elan — lotem fałszywym, jak Szymon Maga.

To właśnie są ostateczne konsekwencje estetycyzmu, niewątpliwie wywodzące się z wczorajszego skamandrytyzmu. Jest to styl emfazy i deklamatorstwa wraz z wszystkimi tak wątpliwymi ich walorami. Styl ten zastępuje siłę, co więcej prawdziwe powołanie liryczne, którego trudno tu się doszukać. Jest to poezja bezustannie drażnionych i galwanizowanych odruchów, lechtliwy liryzm naskórka. Tam gdzie od biedy dopatrzeć się można „głębi“, postzegamy, iż poezja zastępuje autorowi narkozę, haszysz, opar odurzenia, w najlepszym razie stymulans znużonych i ospałych. To są zenity błahego pięknochwastu.

Transformacje magika na estradzie, coraz nowe piruety i kostjumy. Przebiegi, podstępny, fortele, szminki, peruki, żałosne uśmiechy; jakież to dziecinne! Tematy „malownicze“ z epoki secesji i s. p. modernizmu. Przedwczesny manieryzm zblazowanej młodości. Kult sukcesu, zawrotna wirtuozeria, forsowanie artystyzmu, bezkrwistość epigona, dziesiątki reminiscencji.... Talent? Niewątpliwie, nawet bardzo duży, lecz całkowicie na bezdrożach pychy. Babcia-Akademii niejedno zwykliśmy wybaczać; bądźmy pobłażliwi dla starości. Lecz wnuki, w laur przybrane, niechże się ockną.

*) Swiatopelk Karpiński, Trzyście wierszy, Warszawa, 1936, Wydawnictwo J. Przeworskiego.

STEFAN NAPIERSKI.

POWIEŚĆ O WSZYSTKIEM

„Gruce“*) — to powieść konwersacyjna, w której bar dziej chodzi o to, co się w niej przegada, niż o tok wypadków, rzucających od postaci pewne światło na wysiłek pisarski autorów. Jeśli mamy poszukać Grucom pokrewieństwa w literaturze światowej, by nie sterczały samotnie na naszej rodzimej niwie, nieuprawianej w tym gatunku pisarskim, — znajdujemy u podstaw pomysłu cykl Prousta, „Point counter point“ Huxley'a, i po-Proustowską powieść cykliczną francuską, z Duhamelem na czele. W fakturze natomiast nie trudno się dopatrzeć może mimowiedniego podobieństwa do stylu Kadena i Bandrowskiego, co nie jest najmocniejszą stroną autorów. Jest to styl nonszalancki, za którym ukrywa się pogarda dla opisywanej rzeczywistości, jakiś ton rezonersko-sobiepański, wnoszący z sobą galerię karykatur, wręcz jakby przymus dla pióra. Stąd sceny, które mają być liryczne i pozytywne, bywają wysilone chwytami przesadnymi, dla kontrastu, i zgory są przez to stracone. Dobrą stroną tej techniki jest znowu trafne ujmowanie abstrakcyj przez określenia zmysłowe, skrótowy charakterologiczny, cały bagaż liryzmu negatywnego, który z sytuacji pozornie trywialnych potrafi wydobyć dużo namysłu nad sprawami świata. W ostatecznym rachunku kilka powtarzających się błędów gramatycznych i składniowych, zupełnie nieoczekiwanych na tym poziomie dialektycznym, nie pozwala ogłosić zupełnego zwycięstwa autorów nad materiałem językowym.

Powieść daje w przekroju obraz współczesnej Polski, jej stanu obyczajowego, od nizin, od jakiejś rogówki nazwiskiem Matysiak poprzez drobnomieszczanstwo, burżuazję, sfery inteligencji zawodowej aż do arystokracji, ostatecznie zidzociałej w rodzimym Miłobłockich, czy im podobnych. Ośrodkiem zainteresowania jest para ludzi, idących przeważnie oddzielnie po torach powieści, a będąca jakgdyby rzecznikiem autorów; jest to Leon Gruca, ex-nauczyciel gimnazjalny, potem fotograf i kelner, interesujący myśliciel i rezoner, oraz panna Malina Bratkowska, która ucieka od ciotek, żeby nauczyć świat jak ma ją traktować. Nieznośne dziewczynko, które mimo pozorów naturalności wydaje się być zdziwione, że jeszcze nie wybrano go królową Polski. Naturalnie nie jest to efekt zamierzony, tylko mimowolny. Gruca mówi ciekawie, jego rozważania o państwie, filozofia moralności, krytycyzm wobec własnych zasobów biologicznych, lęk przed życiem i uczciwy namysł nad rysunkiem zjawisk, czynią zeń wartościową postać literacką, o trwałym do robku w zakresie poznania. Jego stosunek do syna Mirka, z małżeństwa z Rusinką, tragedia zaparcia się dziecka i niedosyt ojcowskiego uczucia, są wydobyte z wielką subtelnością i umiarem. Natomiast dzieje Maliny i oglądanego przez nią świata, choć z pozoru bujniejsze, a nawet w scenach dworskich, gdzie Malina przebywała w charakterze panny do towarzystwa — pełne obrazowego miąższu. W gruncie rzeczy odsłaniają pustotę i denerwującą arogancję wobec zjawisk. A tak nie można, panno Malino. Chapeau bas przed tematem, to pierwsza zasada powieściopisarza.

Lwów i okolica z ludźmi trochę inaczej charakteryzowanymi, niż ukazują się w rzeczywistości na ulicach swego „grodu“ — jest szerokim tłem opowiadania. Wielkie bogactwo typów, którymi możnaby obdzielić kilka powieści, rozsadza kompozycję dla czytelnika, śledzącego pilnie los głównych postaci, ale taka pedanterja byłaby nieuzasadniona, gdyby każda z postaci miała swoją motywację psychologiczną, ciągłą. Tak jednak nie jest. Kreślone doraźnie nawet z wielką pasją, stygną do następnego rozdziału, by potem ukazać się znowu w innym geście jako panoramiczny fronton, pretekst do autorskiej wypowiedzi. Obfitość i rzetelność obserwacji zaszkodziła w ten sposób jednolitości masy powieściowej. Może należałoby przyjąć zasadę, że do wyrażenia wszystkiego nie musi się o wszystkim pisać, wystarczy wyraziście potraktować losy osób wybranych. Wszystkie te pretensje krytyka trzeba naturalnie uważać za dyskursywne, autorzy mają swoje założenia. W każdym razie dali książkę na znacznym poziomie kulturalnym.

*) Anna i Jerzy Kowalscy: Gruce, F. Hoesick, 1936.

M. PROMIŃSKI.

HENRYK DOMIŃSKI

SEN

*nocą po rzece pływali złotymi kołami wiatr
cichą muzyką szumiął w zielonym strumieniu drzew
księżyc jak śnieżna łąka w nadbrzeżnej wiklinie się kładł
miesięczne smugi zaplatał w rozwarłe skrzydła mew*

*u bram dzieciństwa poznałem lodowy świat
kiedy szepł matki na szybach umierał
cpadających żręnic gaś kwiat
polarną jasność otwierał
odpływała srebrnym aniołem
kołysała niebo warkoczami
nad księżycowem siołem
sny się były wielkimi chmurami
czemu matko
gwiazdy krążą w powietrzu nieruchomem
gdy w białej sukience stajesz
przed moim domem*

*może objąłem sercem błękitny ogień meteorów
czarnym żołnierzom nocy podaję kamienną twarz
giniesz za wodą smutku
nietoperze trzepocą o blask
oto wśród ciemnych ugorów obca powstaje pieśń
której zapomnieć nie umiem
a nie wiem
na jakie fale ją nieść.*

NAJSTARSZY W MAŁOPOLSCE DOM BANKOWY

SCHÜTZ i CHAJES

WE LWOWIE, PLAC MARJACKI 7 (róg ul. Kopernika)

załatwia wszelkie transakcje bankowe:
kupno i sprzedaż efektów, walut i monet,
sprzedaż dolarówek za gotówkę lub na
dogodne spłaty ratalne.

KOLEKTURA LOTERJI KLASOWEJ

POETA WALKI SPOŁECZNEJ

Poezje Antoniego Kasprowicza, zebrane w tomiku p. t.: „Słońce za murem“, stanowią swoisty krąg wzruszeń i reprezentują określoną indywidualność poetycką.

Kasprowic jest poetą walki społecznej i doraźnej potrzeby. Pod tym względem wiersze jego zawierają wiele arcy-ludzkiego materiału, który zniewala swą prawdą i grozą.

Oto cierpiący nędzarze
mięsa zgnitego kupa.
Dla nich ten błękit słoneczny
jest niby twarda skorupa.
Twarze ich chude i wrzodne,
ręce chropawe i czarne.
Dla nich to twarde życie
jest niby pusty garnek.

Któż zaprzeczy prawdziwości tego wiersza, któż zakwestjonuje postawę autora, ogromnie ludzką, ogromnie czujną — na ból, nędzę i wysiłek człowieka przez człowieka?

Cechą wierszy Kasprowicza jest ich niepodrobiony autentyzm. Poeta na strychu, Matka, Ojciec, Galganiarz, Swit suchotniczy, Noc, Redukcja, Bezrobotny, Krzyk, Zbrodnia, Złodziej, W celi — cały szereg tych wierszy sugeruje swą prawdziwość, dobrze poznaną treścią. Poeta opisywane zdarzenia przeżył, chadzał drogami swych poetyckich bohaterów. Dlatego wiersze te nie mają tak często obiektywnego dystansu do tworzywa — już samo przeżycie wydaje się być prawdą poetycką. Los poety przepłata się z losem środowiska i bliższych mu ludzi.

Cała pierwsza część tomiku poświęcona jest środowisku, z którego autor wyszedł. Poznajemy więc dom robotniczy, chorą matkę głodnych niemowląt, ojca robociarza, uczestnika walk rewolucyjnych 1905 r. Poeta spogląda już prawie elijni nie — lirycznie i trochę lżawo na tę przeszłość — ale nie odziera swego losu od dzieł w zbiorowości. Czuję się nadal przedstawicielem i wyrazicielem proletariatu. Z pełną świadomością dźwiga swoje powołanie.

Nigdy nie zaznam spokoju,
by głębiej odetchnąć moc,
może przy świeczce z loju
wypluję resztki płuc.

Może przytulku barłóg
lub stal więziennych krat?
Umarło we mnie umarło
moje 20 lat!

A może mnie gdzieś kula
gaz, bagno, potem szpital?
Może się jeszcze nakarmię
gorącym słońcem dosyta?

A może? Tak czy owak
byłem doczekać mógł,
kiedy przed burzą pięści
kark swój pochyli wróg.

Niepokój ten prowadzi do walki. Cała cz. II. nosi charakter poezji opisowej, w którą wplatają się silne momenty gniewu, akcenty wyzwania i walki. Przed oczami czytelnika przesuwają się ludzie z dna, manekiny pracy, wreszcie ludzie żadni, wyzyskani do zraty swego człowieczeństwa. Więc zrywa się żywiołowy okrzyk sprzeciwu:

Nie wolno, nie wolno nam teraz
bezmieślnym i głuchym pozostać,
gdy słychać zgrzyt kości, szcęk żelaz,
gdy krzywdy są jawne poprostu.

Nie wolno w krzyk stąpić się maszyn,
W kopalniach mrzeć śmiercią powolną,
gdy wszystko udziałem jest naszym
nie wolno! nie wolno! nie wolno!

Wiersz ten daje jednocześnie charakterystyczną próbkę — „genre'u“ poetyckiego Kasprowicza. Cechy określające stanowią: autentyzm doznania, prostota formy i emocjonalność nastroju. Ma to swoje zarówno plusy jak i minusy.

Plusy, bo są to cechy bezpośrednie i świeże. Minusy — bo nieopieblone prowadzą do małego zakresu treści, płytkości opisowej i szybkiego wyżycia się, przy którym braki kultury artystycznej wystąpią rażąco na jaw.

Zdaje się, że autor sam to rozumie. Przynajmniej na zakończenie tomiku daje obrazy syntetyczne (Faktomontaż, Pozdrowienie i in.) i usiłuje wznieść się na wyższy poziom formalny.

Kasprowicza, jak każdego prawie debiutanta, czeka praca — nad sobą i nad wyrazem. Wnikanie łatwości i większa dbałość o artyzm — szczególnie są wskazane.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW.

Protest pisarzy warszawskich

Solidaryzujemy się z protestem proletariatu Lwowa przeciwko krwawym rozprawom z robotnikami, walczącymi o pracę, chleb i wolność.

Prezydium Komisji Literackiej
przy

Lidze Obrony Praw Człowieka i Obywatela:

Baczyński Stanisław
Broniewski Władysław
Miller Jan Nepomucen
Rogowicz Wacław
Wolica Andrzej.

Boguszewska Helena, Burdecki Feliks, Burek Wincenty, Degal Alfred, Dobrowolski Ryszard Stanisław, Grodzieńska Wanda, Kellert Jerzy, Kornacki Jerzy, Kuczyński Bogusław, Lec Stanisław Jerzy, Melcer Wanda, Pollak Seweryn, Rey Sydor, Raduski Władysław, Strug Andrzej, Szemplińska Elżbieta, Słobodnik Włodzimierz, Szenwald Lucjan, Siedlecki Franciszek, Schürer Emil, Szymański Edward, Twardowski Jan, Wasilewska Wanda, Wat Aleksander, Ważyk Adam, Wojczyńska Czesława, Wyka Jan.

Czarnowski Stefan Zygmunt prof. U. W.

Lindenbaum docent U. W.

Ossowski Stanisław docent U. W.

Rajchman Aleksander prof. Woln. Wszecz., docent U. W.

Bobowski Zygmunt, Gede Kazimierz, Herman Józef, Kudła, Linke Bronisław, Nadelmanówna, Thernerson Franciszka, Zarnowerówna Teresa.

**MYDŁO
POLSOT
NAJTAŃSZE
Z NAJLEPSZYCH**

MIKOŁAJ BIERDIAJEW

NOWE ŚREDNIOWIECZE

W książce Bierdiajewa współczesna epoka występuje w całym swym tragizmie, jako okres, który utracił związek z podstawami życia indywidualnego i społecznego, jako okres, któremu obce jest poczucie prawdy i harmonji, jako okres chaosu.

RUDOLF MARJA HOLZAPFEL

WSZECHIDEAŁ

Romain Rolland powiedział o nim: „Wszystkie światła zagasły; niema okna, które otwieraloby się nowej nadziei, zamurowany nocą świat. On przebił mur, on ujrzał nowe horyzonty“.

**TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ROJ“
WARSZAWA ULICA KREDYTOWA L. 1**

KORESPONDENCJA

Spowodu wypadków 14 i 16 kwietnia b. r. nie dajemy kolumny satyry. Na rzecz ofiar tragicznych zajęć składamy 20 zł.

OBRONA SŁONIMSKIEGO.

Do Redaktora „Sygnałów“.

W związku z „Napaścią nieosobistą”, umieszczoną w Nr. 16 „Sygnałów”, uprzejmie prosimy o wydrukowanie w Jego piśmie następującego wyjaśnienia:

Na urzędowym w Warszawie w dniu 8 marca r. b., publicznym odczytaniu zbiorowym na temat „Literatura w walce z faszyzmem i wojną” grupa obecnych, z licząca zgórą 2000 osób, usiłowała okrzykami nie dopuścić do głosu jednego z prelegentów, Antoniego Słonimskiego. Energiczna interwencja członków prezydium Zarządu Ligi, którzy oświadczyli z mównicy, że nie pozwolą się terroryzować przez część zebranych, podzielała uspokajająco na demonstrantów: p. Słonimski wygłosił swą prelekcję, podczas której rozlegały się jednak tu i ówdzie okrzyki, a również i okłaski.

Sądymy tedy, że inicjatorzy odczytu spełnili, co do nich należało, umożliwiając wygłoszenie przemówienia zaproszonemu przez nich prelegentowi. Za opinie, wykrzykiwane przez grupki publiczności na otwartym masowym zgromadzeniu, nie mogą przecież ponosić odpowiedzialności organizatorowie zgromadzenia.

Liga doraźnie, na miejscu, obroniła tego pisarza, którego „najbardziej ludzkie prawa” nietylko zostały brutalnie pogwałcone, ile usiłowano je pogwałcić. Czyż to nie wyczerpuje całkowicie sprawy?

LIGA OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA
W POLSCE,
WARSZAWA, KRÓLEWSKA 16 m. 41.

WYJAŚNIENIE.

Do Redaktora „Sygnałów“.

W 15-tym numerze „Sygnałów” umieszczono moją notatkę: „A to właśnie Tatarski”, wyjaśniającą pewną sprawę z zakresu moich prac jako recenzenta teatralnego „Gazety Lwowskiej”. Redakcja „Sygnałów” dołączyła tę notatkę do wielkiego, niepodpisanego artykułu: „Niedyskrecje teatralne”. W rezultacie wyglądało to, jakbym ja był autorem również owych „Niedyskrecji teatralnych”.

Cała sprawa miała pogłos niespodziewanie huczny, dla mnie zaś — szczególnie cierpki. Posadzony z kilku stron o autorstwo owych „Niedyskrecji teatralnych”, popadłem w szereg przykrych kolizyj, z których wreszcie jakoś wydobyłem się.

Dla czytelników „Sygnałów” moja notatka o Tatarskim i „Niedyskrecje teatralne” stanowią dalej sprawę łączną. Czuję się zatem zmuszony tym oto listem wyjaśnić, że nie jestem autorem „Niedyskrecji teatralnych”.

B. W. LEWICKI.

„PERSPEKTYWY POETYCKIE” J. PUTRAMENTA — A MARYNISTYKA.

Do Redaktora „Sygnałów“.

W nrze 16-sym „Sygnałów” przeczytałem z niechęcią zacięciem artykuł J. Putramenta, zasługujący na głębszą uwagę choćby tylko dlatego, że autor wypowiedział w nim to, co leży na sercu tych wszystkich spośród młodych, którym stan rzeczy, istniejący w naszej literaturze, nie odpowiada.

Mam tylko jedno zastrzeżenie: Putrament pisze: „Cóż dziwnego, że wobec takiej prasy, krytyki i korporacji literackich polską rzeczywistość poetycką można określić jedynie w kategoriach makabrycznych, że ...powstają absurdalne zreszenia poetyckie złożone jakimś geograficznymi czy zawodowymi kryteriami...”, że powstają kluby poetów — marynistów i t. d., że powstają kierunki poezji „każdej tylko nie opartej na jedynym istotnym kryterium — kryterium walki o nowy styl poetycki”.

Głównie chodzi mi o te „kluby poetów = marynistów”. O ile wiem (a zwykle wiem dość dobrze, co się dzieje wśród marynistów, t. j. pisarzy, interesujących się głównie morzem jako tematem), dotychczas w Polsce nie powstał jeszcze żaden taki klub poetycki, i chyba niema ani potrzeb, ani tembardziej zamierzeń, by miał powstać.

Natomiast w Towarzystwie Literatów i Dziennikarzy Polskich zawiązano Sekcję Pisarzy = Marynistów. Pisarzy, a więc tak poetów (zresztą, stosunkowo b. nielicznych), jak i powieściopisarzy, publicystów i uczonych. Członkowie Sekcji zrzęśli się nie poto, by apoteozować jakiś nowy (marynistyczny) rodzaj poezji, lecz by wzajemnie pomagać sobie w swych poczynaniach twórczych (przykład: „Był bój pod Oliwą” J. B. Rychlińskiego — opracowanie historyczne W. Huberta), by wspólnym wysiłkiem czuwać nad rozwojem

i czystością marynistyki wogóle: z jednej strony przez jej popularyzowanie, a z drugiej — przez tępienie quasi — marynistycznych wyczynów hochstaplerów literackich, wyciskających rosnącą w Polsce konjunkturę morską oraz nieświadomość lądowych czytelników, łatwo się im dających bałamuć. I jeszcze: by morzem interesowano się u nas mniej oficjalnie i nietylko w Święta Morza, nietylko podczas urlopu w Jastarni. By mniej było „Frontem do Morza”, a zato więcej — morza. By zgnębić konserwatywną, reakcyjną, tchórzliwą, nieporadną lądowość ogółu Polaków.

Poezja marynistyczna — źle: niema takiej poezji, poezja bowiem jest jedna i zawsze winna być tą prawdziwą, — lepiej zatem: — marynistyka w poezji nie musi i nie może być lekceważona przez nie-marynistów. Polska, taka czy inna, reakcyjna czy rewolucyjna, w niedalekiej przyszłości będzie Polską morską. Stąd wszelkie możliwości rozwoju marynistyki wogóle i stąd wszelkie prawa do miejsca dla niej w poezji. Rzeczą twórców, walczących o nową postawę poetycką, — by opanowali i marynistykę. Co dziś jest im jeszcze obce i godne pośmieszek, jutro może się stać bardzo własne i godne obrony najzapałszej.

Marynistyka nie jest jedną z makabrycznych kategorii polskiej rzeczywistości poetyckiej. Jest strumieniem ożywczym, bo świeżym, a więc w pewnym sensie — awangardowym.

Byle tylko nie trąciła zaruszczyzną i hurra-propagandą.

Stylu nabierze.

ZBIGNIEW JASINSKI.

Redakcja udziela odpowiedzi tylko w dziale „Korespondencja”, niezamówionych rękopisów zasadniczo nie zwraca. Prace, umieszczone w „Sygnałach”, nie są honorowane.

Hajot. Lwów. Prosimy o porozumienie się osobiste.

J. R. Lwów. „Powrót” — może w przyszłości.

J. B. Wołyń. Za życzenia dziękujemy. Wiersze nie będą drukowane.

W. I. Warszawa. Za miłe słowa serdecznie dziękujemy. Z nadesłanych wierszy może „Noc czerwcową”. Prosimy o inne. Z grupą „Wołyń” nawiążemy kontakt z wielką przyjemnością.

Z. J. Lwów. „Za księżycem” — nie pójdzie.

Dr. P. K. Warszawa. Z artykułu nie skorzystamy.

L. S. Lwów. „Erotyk patetyczny” i inne wiersze nie będą drukowane.

L. R. Lwów. Z „Przypomnianego szczęścia” nie skorzystamy.

B. B. Lwów. „Pieśni konika polnego” i innych wierszy nie umieścimy.

I. K. Lwów. Za miłe słowa dziękujemy. Życzymy Panu równie szybkiego wyleczenia się z angielskiej choroby. Wiersze nie będą drukowane. Oceń je Panu z przyjemności Kaden w „Gazecie Polskiej”.

E. B. Lwów. Wiersza „Urodził się matce syn” nie umieścimy.

E. A. Warszawa. Nie został zakwalifikowany. Prosimy o większy wybór.

S. L. Lwów. „Pogrzeb” nie będzie drukowany.

Dr. A. H. Wilno. Za miłe słowa dziękujemy. Korespondencji naogół nie drukujemy.

K. W. Lwów. Artykułu o grafice hiszpańskiej nie umieścimy.

K. K. Lwów. Ma jeszcze na to czas. Niedawno się urodził.

WŁADYSŁAW JAWORSKI



*soczyste powietrze wstaje znad odwilży
już niema barw obok drzeń ciemnej strugi
wiatr po polach głosu kołysze
na drzewach zatrzymują się lamp smugi*

*w zmierzch gonię ten światłocien
w szumiący opar w krajobraz szklany
a on dotyka wspomnień w przelocie
i wraca koło mnie nieschwytany*

*kiedy późno potem na szarfy nieboskłonu
opadają gwiazdy wycięte z luster
wtedy pełnią się nigdy nieosiągnięte
w czerwonych tęsknotach scalowane usta*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ

REDAKCJA NIE ODPOWIADA

UNIwersALNOŚĆ NISzczy URODĘ

Lekarsko = kosmetyczne preparaty fabryki „Miraculum” z przepisu Dra Lustra, specjalisty lekarskiej kosmetyki, są odzwierciedleniem postępu w dziedzinie indywidualnego pielęgnowania urody. Do każdej właściwości cery, tudzież do najczęstszych wad cery, skóry i włosów dostosowane są swoiste, idealnie higieniczne preparaty. Nawet preparaty do codziennego użytku, jak np. puder, przyrządza „Miraculum” odrębnie — do tłustej cery: Dra Lustra odtłuszczający puder Higieniczny, zaś do prawidłowej i suchej cery: Dra Lustra roślinny puder Egzotyczny. Do każdego preparatu załączona jest broszurka, dająca wskazówki, jak samodzielnie rozpoznać właściwości cery oraz jak zastosować dany preparat.

NAPAŚCI NIEOSOBISTE

NA P. JERZEGO STEMPOWSKIEGO.

Ta napaść ostatnia jest wyrazem „świeżego i rumianego” prowincjonalnego barbarzyństwa. P. Stempowski bowiem jest pisarzem poważnym, o bardzo szerokim horyzoncie. W Warszawie jest uważany za ostatniego polihistora. Wszyscy znamy jego piękne dociekania na temat socjologii grup i kierunków artystycznych. Dzięki niemu przez długie lata Pareto nie schodził z lamów „Drogi”. W lutym ukazał się w „Wiadomościach Liter.” jego artykuł p. t. „Zachód 1935”. Artykuł jest bardzo piękny, skondensowany, pełen prawdziwego orokuro daleko sięgających perspektywy historycznych. Jest przytem tak głęboki, że nikt nie miał odwagi skonstatować, że wnioski ostatnie są zupełnie fałszywe. Też artykułu jest rozchodzenie się dółg zachodu i wschodu, starej i nowej cywilizacji, zachwianie jedności Europy na polu politycznym, społecznym, kulturalnym. Zachód traci w wielu misternie wywiedzionych powołań swą siłę atrakcyjną. Przesztano mu „przypisywać nieograniczoną zdolność tworzenia i opanowywania nowych czynników cywilizacji, odwagę eksperymentowania w nieznanem”. Wschód przestał się orjentować na Paryż. Niema tam nic do szukania.

Czyżby rzeczywiście tylko we Lwowie wiedziano o tem, że na Paryż przestano się już orjentować od lat dwudziestu mniej więcej, że wschody i zachody Montmartre'u są zupełnie drugorzędniemi objawami, że organizacja nauki wreszcie łącząca dzień świat cały siecią gęstą i mocną, a ludzi oddanych naukowej pracy braterstwem uniemożliwia najzupełniej taki rozdział, jaki widzimy w historii po upadku Rzymu, a czego zdaje się obawiać p. Stempowski. Zachód eksperymentuje dalej w nieznanem. Przesunęły się tylko centra, przesunęły się zainteresowania. Nie marchandzi paryscy decydują o tem, a Cambridge, Princeton, Passadena, fundacje i instytuty naukowe Ameryki. Widzimy w ostatnich latach, jak bardzo powoli zainteresowania przesuwają się w kierunku biologii i psychologii (co wywrze spewnością za lat kilkadziesiąt olbrzymi wpływ na losy całego świata) widzimy, jak Anglicy odbierają Niemcom i Francuzom kierownicze miejsca, jak nowy humanizm z trudem zdobywa pozycję za pozycją na przestarzałych, sztywnych, mechanistycznych twierdzeniach, pełnych przesądów i ograniczeń.

Dawny prosty zegar dziejowy został dziś zastąpiony przez bardzo skomplikowane aparaty. Brak nam tylko pomocy w posługiwaniu się nimi i w dokładnem odczytywaniu pomiarów.

Na „I. K. C.”

„I. K. C.” zajął się po lwowskich wypadkach intensywnie t. zw. „elementami”. „Elementy”, w przeciwieństwie do „mętów”, które są niepodobnie autochtoniczne, są pochodzenia niewyraźnego, a raczej można by powiedzieć zupełnie niewyraźnego. Wpływ destrukcyjny wywierają, gdzie mogą. Ostatnio rozwinęły żywiołową działalność w kawiarniach. Pierwsi ulegli im „czerwoni snobi”. Tragiczne skutki nie dały długo na siebie czekać.

Najwyższy czas temu zaradzić. Najprościej nie rozmać. Jeśli się już musi, to nie mówić o sprawach społecznych, a tylko np. o tem, jak pięknie wypadł kolor oczu p. Dąbrowskiego na wielobarwnej kliszy jubileuszowego numeru. A jeśli już nie można inaczej i musi się mówić o „tamtem”, to najlepiej trzymać się informacji p. Otmara i wydawnictw Min. przemysłu i handlu.

Przypuszczam, że redakcja „I. K. C.” nie pozbawiona pewnej inteligencji i sprytu, wie już dzisiaj, że to wszystko psu na buty. Troską o dusze inteligencji i o poziom wychowania sportowego młodzieży nie da się długo mydlić oczu. Zasadniczej dyskusji nawet „Kurjerek” nie uniknie.

NA WARSZAWĘ.

Warszawa robi wrażenie pięknie nakrytego stołu p. Jądwi Beckowej, reprodukowanego z takim smakiem przez naszego ziomka w „Arkadach”, a usławionego w sposób najdziwniejszy w świecie w brudnej, nieprzewietrzzonej, dawno nieodnawianej poczekalni kolejowej. Nikomu to zresztą w tem pięknie miście nie psuje humoru. Dookoła stołu ustawiono gustowny parawan na wzór wnętrza Simu. O humor „nastrój i poziom dbają „Wiadomości Literackie” i „Cyrulik”, (co zresztą na jedno wychodzi). Wielki lwowianin, Moszkowicz, przebrany za huculę, jest mistrzem ceremonii. Dostojni goście zebrani przy stole są światowi i wiedzą wszystko. Rozmowa obraca się przeważnie dookoła personaljów. Najlepsze dowcipy opowiadają kelnerzy. Lwów, jak ubogi krewny, z dalszej linii ciesz się wielką sympatją. Razi trochę nasz brak manier i prowincjonalne barbarzyństwo. Najwyżej ceni się Szczepcia i Tońcia. Zaraz potem idzie Strońc, prof. Groer i wszy prof. Weygl. Potem lwowska matematyka. Potem długo nic, a potem kamienie.

STB.

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK

Redakcja i administracja:
LWÓW, RUTOWSKIEGO 9

(W KSIĘGARNI GUBRYNOWICZ I SYN,
właśc. A. Krawczyński), codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 18—19

Prenumerata roczna 5 zł.

Wpłacać przekazami rozrachunkowymi LWÓW Nr. 1

Nieczystości cery usuwa szybko krem



THIOSEPT

Nawet w wypadkach, gdy inne środki zawiodły, stałe stosowanie kremu Thiosept usuwa najbardziej uporczywe nieczystości cery. Thiosept krem na dzień — Thiosept Coldcream na noc absolutnie higieniczne, gdyż pakowane wyłącznie w tubach.

Jako uzupełnienie Mydło Thiosept, zawierające również ten wprost cudotwórczy olejek Thiosept. Należy ściśle przestrzegać sposobu użycia!

